

WIEŚCI z POLSKI

STYCZEŃ Nr. 1 ROK II

ROK II WARSZAWA, STYCZEŃ 1929 R. Nr. 1

WIEŚCI Z POLSKI

MIESIĘCZNIK DLA POLAKÓW NA OBCZYŹNIE



ORGAN STOWARZYSZENIA "OPIEKA POLSKA NAD RODAKAMI NA OBCZYŹNIE"



DROGA POLSKA



fot. Poddębski.

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Z tułaczej drogi

Takaś daleka mi, a tak bliska
W tej mglistej doli, ojczyzno moja!
Przez morskiej fali modre kolıska
Ślę myśl ku tobie. Jak mocna zbroja,
Tak mi tęsknota okrywa serce
W tułaczej doli i poniewierce.

Byłaś mi zawsze tą gwiazdą złotą,
Którą widnokrąg ciemny się pali,
Gwiazdą, co skrzy się i błyszczy po to,
Aby wędrowcy wiecznie ufali
I aby żaden w męce podróży
Do obcych portów nie wszedł na dłużej.

Kocham cię, kraju! Przez mil tysiące
Chciwe ku tobie przesyłam oczy.
Gdy karzesz, w boje pójdę gorące
Za twoją świętą sprawę ochoczy —
A dziś z obcego błagam rozstaju:
Moje tułactwo błogosław, kraju!

Wieś polska w zimie





fot. Poddębski.

GUSTAW OLECHOWSKI.

Pani Pułkownikowa.

Opowiadanie niniejsze budzi w nas wspomnienie trzech wielkich wydarzeń dziejowych dawnej Polski: powstania 1863 r., tej nierównej bohaterskiej walki z przemocą wrogów, w której niejedna Polka dopomagała powstańcom z narażeniem życia podobnie jak mężna p. Pułkownikowa; powstania 1831 r. w najboleśniejszej chwili klęski i wtargnięcia wrogów do stolicy. Wśród ogólnego rozprzężenia i samowoli zwycięzców możliwe były wówczas wypadki tragicznego rozłączenia rodzin w rodzaju tego, który miał miejsce w rodzinie Pułkownikowej. Wreszcie wspomniana jest radosna chwila unji horodelskiej, szczytnego wzoru złączenia dwóch narodów, Polaków i Litwinów, nie przez gwałt i przemoc, lecz miłością bratnią. 350-letnia rocznica tego pamiętnego aktu, który miał miejsce w r. 1413, przypadała właśnie w r. 1863, co dawało powód do urządzenia obchodów, zagrzewających ducha narodowego, a przez moskali za bunt poczytanych jak to opisano poniżej. *Redakcja.*

Pani Pułkownikowa była osobą nieskomplikowaną, prostolinijną. To znaczy, że gdy spotkała biednego, to mu dała jałmużnę, gdy była na weselu, to była wesoła, a na pogrzebie smutna. Gdy kto wołał ratunku, to szła mu na pomoc, nie bacząc, kto on. Gdy kogoś przy niej obmawiano, zawsze go broniła, choćby to był jej wróg zacięty, ale gdy ją coś oburzyło, to największemu dygnitarzowi prawdę w oczy wycięła, bez względu na konsekwencje, jakie stąd najboleśniej dla niej mogłyby się wynurzyć. Gdy pracowała, to w pocie czoła, a gdy kochała — to na śmierć.

Miała niegdyś męża i dziecinę, straciła obydwoje, pozostał jej tylko do kochania — kraj i naród.

To też modliła się często, by ojczyzna z niej pożytek jeszcze kiedyś miała. Jakoż, gdy jesień owa ciepła nadeszła, co to wbrew porze roku, z uśpienia długiego świat się budził, a ludzie odmłodzeni krzepcej dłonie sobie ściskali, niewidzialnemi serdecznemi nićmi braterstwa się wiążąc, — pani Pułkownikowa bacznie się wsłuchiwała w to, co ludzie prości gadali, co gazety pisały i co sąsiedzi jej z miasteczka, a nawet ze stolicy za nowinki przynosili.

Czuła, że z każdym tygodniem lat jej ubywa, choć miała ich już pięćdziesiąt i pięć. Ogromnego wzrostu, o kruczych jeszcze włosach, szronem siwizny nieco tylko przypruszonych, niebieskooka, orlego nosa, delikatnego ust zarysu, wyniosła, piękna, majestat rasy i — boleści w sobie nosiła. Usta zacięte i brwi sobolich klamra spięta zdradzały silne porywy i moc ducha. Oczy, jakby w dal wpatrzone, krótkowzroczne były, dziedziczne.

Dla gościa zawsze miły uśmiech, słodyczy pełen, miała, szczególniej dla swego dalekiego kuzyna, jedynego jej krewnego.

Gdy zagrzmiała na dziedzińcu landara w 5 koni — pani Pułkownikowa, z okna wyjrzawszy, odrazu poznała kuzyna, i nim na ganek wybiegła, zdążyła już pannie służącej rozkaz rzucić, by ta kucharzowi kazała co żywo do obiadu zwykłego — kaczkę jeszcze w potrawce z kaszą perłową dodać, bo gość przyjechał.

Po zwykłem przywitaniu przyszedł czas na gawędę:

— Co słychać, serdeńko?

— Dużo, dużo, — odrzekł kuzyn, — na wszystkie strony słychać. A przedewszystkiem to, że ja dziś nie do Pułkownikowej z wizytą, a po nią tylko wstąpiłem.

— Jakże to, na Boga, mówże?

— A no, gościńce pełne, wszyscy jadą i idą na punkt zborny dla obywatelstwa po tamtej stronie rzeki u jenerałowej.

— U przyjaciółki! Ale co, jak, nic nie rozumiem, kuzynie.

— Pani Pułkownikowa nie słyszała?

— Więc cóż? Rozumie się, serdeńko, że słyszałam z historji, toż na początku piętnastego wieku...[1]).

— A właśnie. Nastaje moment dziejowy, że musimy to odnowić. Postanowiono urządzić zjazd. Tysiące tam już ciągną. Jadę i ja. Myślę: wstąpię do Pułkownikowej, kuzynki.

— No, jeszczeby. To się rozumie. Jadę z wami.

Kuzyn przenocował, a nazajutrz, pozostawiwszy ciężką landarę i szkapy zdrożone, siadł z panią Pułkownikową w lżejszy tarantasik, w trzy konie zaprzężony i, po wczesnem śniadaniu ruszyli do punktu, gdzie przez rzekę przeprawa była.

Na prom chmara ludzi czekała, różnych kondycyi, od bogatych aż do pospólstwa, a wszystko w dziwnem, nabożnem jakiemś skupieniu, jakby w oczekiwaniu cudu. Twarze pełne spokoju i rezygnacji bynajmniej jednak nie apatji, odźwierciadlały podniesienie ducha, wiarę, a i zadowolenie, że przeprawa przez rzekę jest jeszcze wolna, i że władza wojsk naprzeciw manifestantom nie wysłała.

Po przeprawie — było już niedaleko, — tak, że w dwie godziny niespełna pani Pułkownikowa ściskała już w ramionach przyjaciółkę swą, z którą się rzadko widywały.

Pełno tu było szlachty. Na podwórzu pojazdów co nie miara, we dworze ze 40 osób, przeważnie ludzi starszych, bo młodzież na koniach po okolicy się uwijała, kompanie wszelkie na wielki gościniec kierując, tak, by na jutro, 10 października, w ogólny pochód złączyli się wszyscy i na święto wielkie razem podążyli.

Jesieni tak ciepłej, pięknej, pogodnej, łagodnej nie pamiętano dawno. To też nazajutrz rano gospodyni domu zadecydowała, żeby gromadka cała jej gości ze służbą i kto po drodze się zdarzy — na piechotę poszła, na gościńcu łącząc się z tłumem. Tak się też stało.

Kilkadziesiąt osób, z pieśnią na ustach, mężczyźni z odkrytemi głowami, ku gościńcowi dążyło, a wśród

[1]) Mowa jest tu o Unji w Horodle między Polską a Litwą w 1413 r.

nich maszerowała przodem pani Pułkownikowa z panią jenerałową. Ledwo na gościńcu się znaleźli, minął ich w najwyższym galopie —pędzący bryczką — jeden z młodych obywateli z wieścią: „Już idą, bądźcie gotowi", — jakoż w kwadrans niespełna dziwny hałas z lasu ich doszedł, nie podobny jednak ani do śpiewu, ani do marszu tłumu, i nie dziwno, gdyż w chwil parę...

Serce im zamarło...

Gościńcem z lasu wypadł oddział wojska z szablami, połyskującemi w słońcu, i, jak wicher pędząc ku gromadce bezbronnych, którzy pod krzyżem przydrożnym stanęli, — minął ich i pognał. Był to rekonesans wysłany naprzeciw manifestantów.

Ściśnięte serca nie odbiły wrażenia na twarzach, poważnych, spokojnych. Usta ani na chwilę pieśni nie przerwały.

W godzinę potem uszu klęczących pod krzyżem doszły głosy, jakby poszumu morza. Jakoż zaraz z lasu wysunęły się pierwsze chorągwie kościelne i stare sztandary wojskowe, tuż za nimi wyniosła postać księdza, a potem już fala głów ludzkich, jak okiem sięgnąć po gościńcu, tysiące, dziesiątki tysięcy, mężczyzn i kobiet, z pieśnią, co w niebo biła, w ordynku wojskowym prawie, bo szeregami regularnymi.

Gromadka nasza stanęła tuż za pierwszą chorągwią i tłum niezliczony ruszył zdecydowanym, szybkim krokiem.

Miasteczko widać było, bo równina wielka wokół się słała, pusta już teraz po ukończeniu wszelkich zbiorów, ale kto miał oko lepsze, ujrzał pod miastem linje wojsk, piechoty i konnicy, w rynsztunku bojowym, działa błyszczące w słońcu, jak kosy śmierci.

A tłum bezbronny szedł — na święto pokoju.

W tem z linji wojsk wydzielił się podjazd w kilkanaście koni i stępa ruszył ku tłumowi.

Gdy zbliżył się tak, że głosy już słychać było — stanął.

Tłum stanął także.

Z podjazdu wysunął się jeszcze bliżej dowódca wojsk z adjutantem, — a podjechawszy na parę kroków do pierwszej chorągwi, przy której stał ksiądz i pani Pułkownikowa, spytał:

— Dokąd dążycie?

Kilkunastotysięczny tłum przerwał pieśń.

Lekki wiatr powiał nad głowami, a choć ciepły był, zdawał się zamrozić w jednym momencie wszystkie usta.

Taka martwa cisza zaległa przestrzeń.

Donośnym, ale łagodnym, choć stanowczym głosem, odparł ksiądz:

— Chcemy tam uczcić pamięć wielkiej historycznej rocznicy zbratania dwóch narodów.

Teraz wszystkie zmysły w słuch się zamieniły

Dowódca odparł:

— Mam stanowczy rozkaz niewpuszczania was do miasta i spełnię go z całą ścisłością.

A potem gest szeroki ręką prawą zrobił i dodał:

— ...Ale macie pola...

Słuchała tej wymiany słów pani Pułkownikowa, ale oczu nie spuszczała — nie z dowódcy, a z adjutanta jego, który o 2 kroki stał przy niej na koniu. A nie dlatego, by zajął ją czemś sam przez się ten siwy już wojak, lecz dlatego, że gdy ją tylko ujrzał, wlepił w nią wzrok przenikliwy, wpatrywał się w nią z uporem, strachem i wstydem zarazem, mienił się na twarzy, bladł, czerwieniał i gdy dowódca koniem już z powrotem zatoczył, on nie mógł jeszcze oczu od pani Pułkownikowej oderwać.

Od tego ostrego, dziwnego wzroku adjutanta odżyły w niej wspomnienia z przed 30 laty, gdy przed takimi dygnitarzami wojskowymi tarzała się w prochu, błagając o śledztwo w wojsku, o wiadomość jakąś, czy kto porwał, czy zabił dziecinę 4-letnią, chłopczyka jej jedynego: — wszystko napróżno, zginęło dziecko. Było to nazajutrz po wzięciu stolicy. Ona była na wsi, chora. Mąż, pułkownik, bronił ostatnich okopów i nie przeżył ich upadku. Dziecina z nianką była u babki, senatorowej, mieszkającej we własnym pałacyku, za miastem prawie.

Jak jej potem opowiadano, w nocy wybuchł pożar. W głębokim śnie pogrążona senatorowa spłonęła, niańka — oszalała z przestrachu, uciekła, a chłopczyna, synek jej ciemnowłosy, przez kwaterujących obok żołnierzy obcych, z płomieni wyniesiony, — jak kamień w wodę... przepadł.

Dano jej znać na wieś.

Chora, z łóżka się zwlokła, siadła do powozu i rozstawnymi końmi jechała do stolicy.

Toż to była droga! Myśli jej gubiły się w rozpaczy.

— Dlaczego list pisała nie matka, senatorowa?

— Dlaczego nie mąż? Miasto wzięte szturmem! Co z mężem?

Albo przyjazd do stolicy! Był to dzień męczarni, piekła, śmierci za życia.

Matki zwęglone szczątki, mąż na marach, zmarł w przeddzień z ran, otrzymanych przy szturmie, i dziecko zgubione!

Ni żywa, ni umarła szła od domu do domu, od koszar do koszar, od obozu do obozu, pytając o dziecię. Napróżno. Nikt nie wiedział. I już się do tego przyzwyczaiła.

I wróciła potem do domu swego, sierota, zbita losem, lecz nie złamana.

— O, gdybyż syn jej żył i był dziś tu! — I oczy swe lazurowe, krótkowzroczne skierowała za adjutantem, który jakby ociągał się z zawrotem, — wreszcie wbił ostrogi w boki konia i pocwałował za dowódcą. A pod czaszką mózg mu gniotły myśli w natłoku raptownym, nieoczekiwanym.

— Co za straszne spotkanie! Tak. To nie może być pomyłka. Ta kobieta — to matka mego przybranego synka. To jej czteroletniego chłopczyka kupiłem od żołnierzy, którzy go wyratowali z pożaru w tamtej wojnie. Zawiozłem dziecko mojej żonie, bo

własnych nie miała. Lata się zgadzają. Siwa już. Ma pewno pod 50. Wówczas nie miała 30 i była — matką czteroletniego synka. Tak nadzwyczajnie tylko syn do matki rodzonej podobnym być może. Te same lekko falujące włosy krucze u chłopca, przypruszone u tej kobiety. Ten orli nos! Te oczy niebieskie, jak lazur, w oprawie brwi wielkich, ta ciemna cera twarzy i usta dziwnie pięknie wykrojone. I te oczy wdal wpatrzone, oczy krótkowzrocznych. I ta wada dziedziczna wzroku! Budowa, postawa, majestat w twarzy, w spojrzeniu. Takich dwóch lic niema na świecie. To syn i matka. Matka na czele manifestantów, a syn jej, mój wychowanek, tuż pod miastem — armaty na nią kieruje...

I żegnał się szybko raz po raz.

Tymczasem tysiące tłumu zeszły z gościńca na pole i tu pospiesznie rodzaj ołtarza na małem wzniesieniu z sosenek zbudowawszy — otoczyły go dokoła, a ksiądz zaczął długą przemowę.

Przypomniał akt.

„Niechaj więc jednoczą się z nami miłością i braterstwem i staną się nam równymi... I przysięgamy im słowem czci i przysięgi nie opuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz razem stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, udzielać im rady przeciw wszelkim zamachom nieprzyjacielskim”...

A o dwie wiorsty niecałe — na równinie pod miastem, ośm armat z paszczami do tłumu zwróconych stało, i kanonierzy obok z zapalonymi lontami.

A potem przygotowane arkusze papieru rozdano w tłum i posypały się niezliczone podpisy protestu przeciwko rozdarciu kraju: garnęli się do podpisu ludzie z pod gór, z nad morza, z równin i stepów.

Wreszcie kopiec usypano na polu i krzyż ustawiono z dwóch sosenek związanych sznurami.

A potem — zeszli wszyscy z pola i w różne strony się rozsypali.

Gromada nasza zdążała do domu, a z tyłu za nią kompanijka chłopów śpiewała jeszcze:

Prosimy Cię Boże i Twojego Syna —
Niech wszyscy znów będą jak jedna rodzina...

Teraz dopiero zorjentowała się pani Pułkownikowa, że te parę godzin pięknego święta narodowego minęły jak sen dawny jakiś, a bolesny.

Po parodniowym pobycie u pani jenerałowej wróciła pani Pułkownikowa do domu i poczęła się energicznie krzątać około — rzeczy publicznych.

W parę miesięcy potem wypadki dziejowe owładnęły nią zupełnie.

Widywano ją bez przerwy kursującą pomiędzy miastem a granicą państwa, w parę koni, na wasążku, sianem wyściełanym.

Któż mógł wiedzieć, że w sianie, na dnie wasążka, broń przewoziła, którą u handlarza kupowała, z dostawą do granicy.

Bo to raz spotykała oddziały wojsk! — Ot, jedzie stara baba, wlecze się truchcikiem, nie wiadomo po co kości trzęsie — i już. Omijali.

I woziła broń. Zdawało jej się to tak prostem, naturalnem. Cóż innego wówczas robić miała?

Aż raz, z pełną bryczką broni, pod wieczór już, przez wieś jakąś przejeżdżała, gdzie kompanja piechoty z bateryjką armat nocowała.

Warta krzyknęła:

— Stój!

Instynktem ślepym wiedziony żołnierz — szabliskiem w siano dźgnął, —zadzwoniła stal.

Dalej bebechy z wasążka wyrzucać! Aż tu na dnie — karabiny i pudła z prochem, kulami.

W otoczeniu dwóch szeregowców, zaprowadził panią Pułkownikową feldfebel do kwatery majora.

W izbie chłopskiej ciemno było prawie. Kinkiet z oliwą wisiał na gwoździu, a pod nim, tyłem do światła, w mroku, siedział dowódca oddziału, otyły major.

— Co to?

— Broń wiozła dla powstańców, — meldował feldfebel.

— Gdzie broń?

Przyniesiono cały ładunek bryczki.

— Tyś co za jedna? — spytał p. Pułkownikowej.

Z pod czapki futrzanej brwi czarne groźnie się zmarszczyły; wyniosła jej postać jeszcze bardziej się wyprostowała.

— Nie mam przy sobie żadnych dokumentów, uprzedzam. Kto jestem? Cóż to obchodzi pana majora?

— Tyś broń wiozła dla buntowników?

— Tak.

Odpowiedź ta wydała się majorowi szczytem bezczelności i buntu.

— Ja cię każę powiesić, stara wiedźmo, — ryczał tak, że się chałupa trzęsła.

Pani Pułkownikowa usta zacięła w bólu bezmiernym i już ani słowa więcej nie wyrzekła.

Major począł pisać protokół, przeliczył ilość broni i wreszcie odczytał swój skrypt głośno: „za jawny udział w zbrojnym ruchu, przyłapana na uczynku przewożenia broni, niewiadomego nazwiska kobieta zostaje powieszona. Wyrok ma wykonać dyżurny porucznik”.

Gdy porucznik otrzymał rozkaz wzdrygnął się na myśl, że musi asystować przy wieszaniu kobiety, oficerskie jednak serce jego tak było oburzone całym ruchem w tym kraju, że — pospieszył rozkaz wykonać.

Stracenie miało się odbyć tejże nocy, tuż za wsią, w lasku.

Czterech szeregowców z feldfeblem, przy świetle latarni otoczywszy panią Pułkownikową — czekało na swego oficera.

Porucznik, ogromnego wzrostu, lat 35, o kruczych włosach, niebieskooki, orlego nosa, delikatnego ust zarysu, wyniosły, piękny, majestat rasy w sobie nosił. Usta zacięte i brwi sobolich klamra spięta zdradzały

silne porywy i moc ducha. Oczy jakby w dal wpatrzone, krótkowzroczne były i za okularami.

Ciemno było na dworze zupełnie, gdy wyszedł z chałupy.

Jedynie śnieg gdzieniegdzie plamami leżący wybielił zlekka czerń nocy.

— Za mną! — skomenderował i poszli.

Pani Pułkownikowa modliła się głośno.

W tem porucznik przypomniał sobie, że nawet nie widział twarzy skazanej. Stanął, a za nim żołnierze; — wziął z rąk jednego z nich latarnię i poświecił w twarz Pułkownikowej, sam pozostając w ciemni.

Spojrzał i — skostniał. Przez okulary widział twarz doskonale, gdy skazana, oślepiona blaskiem latarni, jego twarzy nie widziała zupełnie.

Wrażenie było takie, jak gdyby porucznika sparaliżowało. Ręka, podniesiona w górę pozostała w tej pozycji, oczy po przez szkła nieruchomo wpatrzyły się w twarz Pułkownikowej i zamarły. Latarnia drżała w potężnym jego ręku, jak w drobnej rączce dziecka. Oddech zamarł. Myśli mu jak mrówki dokuczliwe mózg obsiadły.

— Twarz tej kobiety, to jego twarz! Tak może być podobny tylko syn do matki. On wszak tylko usynowiony przez obecnego swego ojca — adjutanta sztabu. Ale pochodzi z tego kraju. Mówiła mu to jego stara niania. Czyj syn niewiadomo. Wyratowany z pożaru. On jest dziś najwierniejszym oficerem armji, ale kto jego matka, kto ojciec? On tego nigdy nie wiedział. Teraz uśmierza bunt. Był tam, pod miasteczkiem, teraz tu. W tej chwili idzie wieszać buntowniczkę. Musi. Przysięgał. Ale serce jego czuje coś strasznego, coś strasznego, że mózg go pali, że mu się miesza w głowie.

Opuścił latarnię, oddał ją żołnierzowi, kazał stać w miejscu chwilę, sam odszedł kilkanaście kroków, potem wrócił, odwróciwszy twarz odebrał znów latarnię, znów odszedł, wyjął z kieszeni rozkaz, napisał na nim następujące słowa: „Panie Komendancie, schwytanej kobiety nie można karać. To moja tajemnica. Ja już nie będę żył w chwili, gdy pan Komendant będzie to czytał. To moja ostatnia wola i prośba z tamtego świata. Uszanuj ją, Komendancie, a ani słowa o mnie do tej kobiety nie mów". Wręczył papier feldfeblowi, kazał wracać ze skazaną do kwatery głównej, a skomenderowawszy żołnierzom na lewo w tył — poszedł sam w stronę przeciwną do lasu, poczekał aż byli daleko już, we wsi, wyjął pistolet, skierował w skroń i pociągnął. Gdy runął na śnieg ogromnem ciałem, jęknęła ziemia i jęk ten zabrzmiał jednako z innym jękiem, który z ust mu się wydarł — ostatni: Matko!

Komendant, przeczytawszy słowa porucznika, rzucił się do konia, z kilku ludźmi przy kagańcach popędził w las, — a gdy stanął nad ciepłym jeszcze trupem, — żegnał się tylko bezmyślnie i powtarzał:

— „Najlepszy oficer", — a potem znów:

— „Nieczysta siła", — a potem jeszcze:

— „Boże ratuj", — na zmianę.

A pani Pułkownikowa, uwolniona niezwłocznie, uklękła na gołej ziemi i za cud dziękowała — Bogu.

A potem siadła na wasążek i zawróciła — do granicy, po nowy transport broni.

POLSKIE ZWYCZAJE LUDOWE.

KANTYCZKI

Śledząc za przejawami myśli narodowej, zdarzało mi się nieraz spotkać prace, których autorzy silili się na takiej to a takiej liczbie drukowanych stronnic oddać obraz i całokształt Duszy Narodu Polskiego. — Zabierali się oni do tego dzieła z powagą i umiłowaniem, nie zaniedbując żadnego źródła, nie omijając żadnego ze słupów przydrożnych, mogących im dopomóc w kroczeniu drogą właściwą. To też nieraz, mając w ręku te dostojne księgi, w których człowiek starał się wydrzeć duszy swojego narodu jej istotę i nazwanie, — dziwiłam się, czemu, wszyscy oni prawie zaniedbują tak ważny węgieł budowlany, tak pomocny próg wejściowy, — jakimi są dawne kantyczki, czyli pospolicie tak zwane kolendy. Trudno było określić skąd poszła przyczyna powszechnego niedoceniania tej odrębnej i bujnej gałęzi poezji ludowej [1]). Dla dni przedwczorajszych powodem wystarczającym była jej religijność, — ale dla dzisiejszych? — Błąd miniony czy złą wolę, nad któremi kolej rzeczy potoczyła się porządkiem dziennym, — należałoby naprawić, tembardziej, że kilkanaście lat jeszcze, a będzie na to zapóźno. Już dzisiaj dawne „Kantyczki", pożółkłe, zniszczone, śmieszne pękate książeczki, zawierające około 400 kolend i pieśni, stają się coraz to rzadsze. Ostatnie wydanie, wykonane nakładem X.X. Misjonarzy krakowskich, jest już dawno wyczerpane, a nowe wydania obejmują tylko te kolendy, które są dzisiaj jeszcze w powszechnem użyciu, odrzucając najcenniejsze z 16 i 17 wieku.

Pierwszą zasadniczą cechą kantyczek stanowi ich oryginalność. Wniknąwszy w nie głębiej nabiera się przekonania, że takie jak są nie mogły powstać gdzieindziej niż w Polsce, na glebie będącej połączeniem dwóch pierwiastków: religji katolickiej i piastowskiej duszy polskiej. Kantyczek podobnych naszym nie posiada żaden inny naród. Śpiewy kościelne okolicznościowe, lub stare, piękne i naiwne pieśni religijne, popularne wśród ludu we Francji, Niemczech południowych, Irlandji, — nie mają nic wspólnego z bogatą samorodną twórczością ludową, która jest istotą kantyczek polskich. Jakże mogłoby być inaczej? Aby kantyczki utworzyć trzeba było z jednej strony mistycznej, bujnej, wspaniałej religji katolickiej, — z drugiej czysto aryjskiej, chłopięco prostej, beztroskiej Duszy słowiańskiej, o błękitnych oczach. Tylko ta

[1]) O ile wiem posiadamy jedną tylko, ale bardzo piękną rozprawę o kantyczkach, pióra St. Tarnowskiego.

Dusza, jedna w całym świecie zdolną była tak ukochać Najwyższe Święte Imiona, — tak ufnie Je przyjąć do serca swojego, by stały się one dla niej czemś rodzonem, swojem i najbliższem w świecie. Tylko ta Dusza, — jedna z pośród wszystkich, — zdolną była na potężnych, choć gołębich skrzydłach wznieść się dość wysoko, by Boga, — Słowo Wcielone, przyjąć za swoje najmilsze dziecko i Tajemnicę Najwyższą włączyć do życia swego, bez zdziwienia.

Wszechobecne, Nienazwane, Niepojęte i Wszechmocne, — „co się przez myśl pomyśleć nie da, lecz przez co sama myśl pomyślaną jest" — stało się dla tych dusz prostych słodkiem i jasnem dziecięciem, które każdy wziąść w rękę i upieścić może.

W tej rozbrajającej poufałości z Nieskończonością i Celem Wszechrzeczy, nie było jednak lekceważenia, ani pomniejszania Bóstwa. Ci wszyscy, którzy twierdzą, że stosunek starych kantyczek do Boga „razi" uczucia religijne i cześć winną Stwórcy, nie znają ich dobrze, lub nie starają się wniknąć głębiej, po za osłonę słów, czasem rubasznych. Zapewne, że przyśpiewek taki n. p. jak „funda, funda, funda,, tota risibunda"!! umieszczony wśród pieśni kościelnej, wywołuje dzisiaj uśmiech, — ale trzeba patrzeć dalej. Łatwo wtedy spostrzec przepaść, oddzielającą lekceważenie Majestatu od ufnej pewności z jaką najmłodsze dziecko, czując się najmocniej kochanem, pnie się na kolana potężnego Ojca i splata mu ręce na szyi. To zaś właśnie, nieświadome, lecz głębokie przeświadczenie ludu polskiego, że jest ukochanem dzieckiem Boga i centrum zbawienia, przebija z każdej kolendy. Inne narody wprawdzie istnieją na świecie, — wzywa się nawet czasem tych „Herodowych poddanych" aby szli złożyć hołd Dziecinie:

„O narody, poczujcie się, do Chrystusa śpieszcie się,
Mongoł z Indyjany, Doniec z Baktryjany,
Stare Scyty — z Mechabity,
Grek z Ormiany, — Afrykany,
Pers z Arabą, — Murzyn z Sabą,
Jednym torem i taborem
Wędrujcie".

Ale Jezusek narodził się tylko w Polsce i jest Bogiem wyłącznie polskim. Polscy pastuszkowie doń biegną, polski śnieg leży na dachu stajenki, polskie gwiazdy nad nią świecą i polskie ptaki schodzą się witać Dzieciątko. A gdy stroskani pasterze, Jacek, Stach i Walek, nie wiedzą którędy bieżeć do Betleem, poucza ich starszy Werdal, który z Aniołem rozmawiał:

„Ot, trzeba iść do Wieliczki, potem do Pińczowa,
A z Pińczowa na Bielany, potem do Głogowa,
Zaś z Głogowa do Mogiły będzie już pół drogi,
(Weźmiem z sobą ze dwa sadła by smarować nogi),
Zaś z Mogiły do Szkalmierza a potem na Tyniec,
A zaś z Tyńca do Betleem, to już drogi koniec".

Kolend ludowych posiadamy niezliczoną ilość. Boże to ziele kwitło i bujało na całym obszarze Rzeczypospolitej, a jeśli gwara i wyrażenia małopolskie mają znaczną przewagę wśród tego zbioru, — to nie brak w nim również litewskich, ukraińskich, śląskich, kurpiowskich, ba, nawet kaszubskich, a gdy oczy padną na takie n. p. słowa:

„O dyć hań Janieli latają jak ptacy" —

to zda się, że szerokiem szkrzydłem powiał wiatr od gór tatrzańskich.

Najcelniejszą wskazówką w określaniu pochodzenia kolend, są imiona pasterzy, które wybierano z pewnością z pośród najpopularniejszych w danej okolicy. Obok imion fantastycznych, jako to: Gryzoń, Maścibrzuch, Cedzimlek, Furgoł, Kwicołap i t.p.— spotykamy imiona uderzające swą różnorodnością. Obok mazurskich (Stacho, Walek, Maciek, Bartek, Jacek), ślaskie, (Ondrasz, Jónek, Jontek, Frącek) — litewsko - żmudzkie, (Jonas, Gryl, Pieś), ruskie (Hryćko, Waśko, Kuźma, Fedor), i wielkopolskie (Krysek, Idko, Symek).

Ogromne bogactwo narzędzi muzycznych, spotykane w poważnej liczbie kolend, zdawałoby się świadczyć o większem niż dzisiaj umuzykalnieniu naszego ludu? Dziwacznie poprzekręcane nazwy instrumentów, dają ciekawe wskazówki względem wpływów i mody panującej w danej epoce, oraz pomagają ustalić datę powstania kolendy.

Włoski obyczaj wprowadzony przez dwór Bony wyrugował na pewien czas klasyczne multanki, organki, kobzy, dudy, basetle, cymbały i powszechnie używane luteńki, — w najprostszych nawet kolendach umieszczając dystyngowane viole, amorki, „tubmuryny" — (tamburino) oraz harfy. Zdrowy rozsądek ludowy szedł za tym ogólnym pędem, lecz uśmiechał się sam ze siebie, czego dowodem kolenda, opisująca jak to Kryś, chcąc zagrać Jezuskowi pięknie i „po polsku", nałapał kotów i kręcąc je za ogony, „ciął jak po włosku z fagotów".

Kresy wzbogaciły muzyczny dorobek kolendników, przez szałamaje, drumle, krzywonosy i bandury.

Wpływ francuski widoczny jest w fajfrach, fagotach, kornetach, regalach. Niemiecki w waltorniach, sztorcach, mutetach, surmerkach. Niektóre z tych nazw były dla autorów kolend tylko pustym dźwiękiem, bez cech bliżej określonych, dowiadujemy się bowiem z jednej z naszych kolend, że:

„Maciek dmuchał w pozytywę". —

* * *

Kolendy czyli kantyczki, rozpatrywane ogólnie dzielą się na trzy rodzaje: ludowe czyli „pastorałki" najliczniejsze i najcharakterystyczniejsze, przeto ciekawsze od innych. Kolendy szlacheckie lub „dworskie", mniej spontanicznie tworzone, artystycznie najsłabsze; kolendy kościelne, poważnie piękne, dzisiaj najpopularniejsze i powszechnie znane.

Przy tej ostatniej z rzędu grupie kolend nie będę zatrzymywać się dłużej. Nie grozi im zapomnienie, piękno ich nie było nigdy zaprzeczone. Na pierwszem miejscu wśród nich postawić należy, potężne: „Bóg się rodzi — Moc truchleje" — Karpińskiego. Ta kolenda zaczynająca się niby wspaniałymi akordami, szeregiem przepysznych zestawień, nie jest w swej treści zjawiskiem oderwanem, gdyż wśród starych pieśni niewiadomych autorów, napotykamy te same myśli i zestawienia, choć w mniej artystycznej formie wyrażone, n. p.:

„Coście nieba straciły — to świat nie ogarnie,
Pustki Boga złowiły, — Pasterza owczarnie.
Darmo gwiazdy świecicie, — na stratę się żarzycie,
Żyć Mu z nami ziemianami, — żyć Bogu tak marnie,
Co zamyślał od wieków, — to wykonał w czasie,
Sercem przylgnął do człeka, kształt jego wziął na się,
Nieobjęty drobnieje, Wszechmogący maleje"...

albo:

„Coś wszystko stworzył w przedziwnym porządku,
Sam się dzisiaj stwarzasz będąc od początku,
Któryś był zawsze, — teraz być poczynasz
Między stworzenie liczyć się zaczynasz".

Przytaczając powyższe wyjątki, nie mam zamiaru ujmować zasługi lub oryginalności dziełu Karpińskiego, — pragnę jedynie zaznaczyć, że zrozumienie ogromu Cudu Wcielonego Słowa, nie było osobistą zdobyczą poety o wyższej kulturze umysłowej, lecz że nić ta przędła się przez wieki i płynęła z duszy ludu.

W dalszym szeregu kolend kościelnych, stoją, tak bliskie każdemu sercu polskiemu: „Wśród nocnej ciszy", — „Anioł pasterzom mówił", „Chrystus się rodzi", „W żłobie leży", „Gloria in excelsis Deo" i wiele innych, po dziś dzień śpiewanych w kościołach i dworach. Kolendy klasztorne, które ty-

tuł zakonny zaliczyć pozornie każe do kościelnych, — pogodnym swoim, jowialnym humorem łączą te ostatnie z kolendami ludowemi.

Tutaj, wśród kolend ludowych, umieścić również należy mieszczańskie. Każdy cech, każde rzemiosło szczyciło się swoją kolendą. Nawet wolny i niezorganizowany cech graczy i karciarzy posiadał swoją odrębną kolendę, poczynającą się od słów:

„Azard to gracki, śmierć grzech w tem zadała,
Naturze ludzkiej kontr wypowiedziała"...

a ciekawszą przez mnóstwo terminów, określających karty i rodzaje gier, dziś już zupełnie nieznanych.

Jedną z zasadniczych cech ogromnej grupy kolend ludowych, jest prostota ich, omal dziecięca impulsywność i brak sztuczności. Czuje się, że te pieśni powstały same przez się, z prostej konieczności wyrażenia uczucia przepełniającego serce. Forma jest w nich wszędzie taką tylko, w jaką się same słowa ułożyły, zatem najróżnorodniejszą, zależnie od siły natchnienia dawnych rymotwórców. Pod tym względem prawdziwem przeciwieństwem pastorałek, jest druga z kolei grupa kolend, zwanych „szlacheckiemi". W tych ostatnich troska o formę zajmuje pierwsze i przesadne miejsce, co rzadko wychodzi na korzyść całości. Gdy bowiem artysta szlifuje i wygładza formę, — powstaje z pracy jego klejnot; gdy wierszopis — świat dostaje rzecz suchą i sztuczną, pozbawioną wdzięku.

Z tej grupy sztywnych i dziwacznych formą kolend, swojego czasu mających zapewne wielkie powodzenie wśród sfer oświeconych, — większą swobodą i wesołem zacięciem odznaczają się kolendy całkowicie łacińskie lub makaroniczne pochodzące zapewne z XVI wieku, w rodzaju:

„Venientes Betleem padli na kolana
Cum gaudio salutant nowotnego Pana;
Salve noster, niebieski Paniczu malutki,
Totus delectabilis, bardzo rumieniutki.
Cur tak ubogo leżysz, inclyte parvule,
Cur non habes pulvinar, nec białej koszule?
— — — — — — — — —
Revertatum do domu, Kuba bracie miły,
By nobis lui gregem nie potarmosiły" i t. d.

Reszta to typowy dorobek pseudoklasyzmu z właściwemi mu, ckliwą przesadą i barokową manierą, w rodzaju następującej:

„Apokaliptyczny Baranku
Leżący w pieluszkach na sianku,
O śliczny Jezusieńku, wdzięczny luby pazieńku,
Boski ablegacie, czem nie w majestacie,
Czemu nie w mistycznej, apokaliptycznej
Jawisz się nam szacie"?

W tej epoce oschłej, pośród konkursów próżności, duch czasu pragnął widzieć nawet Adama i Ewę szlachetnie urodzonemi i odpowiednio do stanowiska przybranemi, albowiem:

„Wędrujże Ewo z raju, — już cię tu dobrze znają,
Zdejm manele — idź do kądziele,
Zdejm forboty, — pójdź do roboty" —

mówi do niebogi Anioł o ognistym mieczu.

Sprawiedliwość nakazuje jednak przyznać, że i wśród tej niemiłej afektowanej twórczości, znaleść można świeże kwiaty szczerego natchnienia:

„Każ! za harfę Orfeusza
Stanie ci się każda dusza;
Mów, jeśli szukasz mieszkanie
Każde serce niem się stanie"...

Czy to jednak samorodne, ludowe, bezwiedne jak źródło leśne wśród głuszy bijące, mamy przed sobą kolendy — czy wyszukane i formami sztuczne dzieła nadwornych pańskich rymopisów, czy też nakoniec, poważne spokojne, kościelne pieśni chóralne — jednako uderza przedziwna ich jednolitość i ścisła pokrewność duchowa, jednakie są zasadnicze cechy ducha, który przemawia z po za starych kartek. Pierwszą i najważniejszą, to bezmierna miłość względem Dzieciny Najświętszej. Ta miłość żywiona przez naród o sercu tkliwem, prostem i nad wszystko ziemię miłującem, nie prowadzi do ekstazy, lub chorobliwej ascezy.

Zamiast rwać się za Gośćmi Świętymi do nieba, pragnie Im ziemię Niebu upodobnić i zatrzymać pośród siebie Zbawiciela, jak najdłużej. Kolendy, zwłaszcza ludowe, mają coś w sobie ze śpiewu skowronka. Jak on wzbijają się w niebo, jak on przytulają piersią swój zagon rodzinny i zapewne też niemniej są miłe dla Pana od głosu szarego ulubieńca Matki Boskiej. Bo, czyż doprawdy nie ćwierkaniem ptaszków polnych, maleńkich braci św. Franciszka, jest np. kolenda następująca, z której urywki przytaczam:

„Robak biedny ma swój kącik — mają swoje łozyska zwierzenta,
Ryby w wodzie lochy — gniazda w ksakach mają wygodne ptasęta,
A Ty, Pan wsystkiego — Schronienia słusnego
Nie wziąłeś?
Nie mógłześ se to psynajmnej ciepłej obrać izdebecki
Nie tę sopę, gdzie na sianie, musis drżeć bez pościołecki?
A tu zewsąd wieje — Biedkę cię zagzeje
Ten wół z osłem.
Aleś sam tak chciał, tak się Twej Świętej spodobało woli
Cierpiąc nędzę byleś tylko wyzwolił ludzi z niewoli
Carta pseklętego — w niebie nas na jego
Osadził miejscu.
Jakze Ci to to odwdzięcymy, cóz za to Tobie oddamy?
Ty wies łepiej, ze zawdzięcyć, byś na miazgę nas zbił, nie zdołamy
Więc na jakie stanie Nas podarki Panie
Takieć dajemy.
Psyjmij je wdzięcnie od nas, wiesześmy ubodzy pastusy
Na cośmy się mogli zdobyć, toć dajemy z serca, z dusy,
Wybac na ostatek, Patrząc nie na datek
Lec chęć dających.

Najdrobniejsze szczegóły mogące być miłe Dzieciątku lub Rodzicom Jego, są obmyślane powielekroć razy, z wruszającą troskliwością:

„Ty Antek, weź kozę dojną,
Ale wybierzże spokojną,
Aby się Panience dała podoić"

napomina stary Bartos jednego z pastuszków:

„Jaga rzekła: dam poduszek.
Wojtek: ja kobiałkę gruszek.
Bartek kożuszynę
Dał przykryć Dziecinę,
Boga swojego.
Kaśka kozę wydoiła
Garnek mlekiem napełniła
I rzekła swojemu:
Cóż ty dasz małemu
Jezusowi?

Wesołe paupry krakowskie śpiewały:

„A ty zaś Rochu — pięknego grochu
Weźmij na plecy z pół wora,
Pod jednym dachem — mieszkasz ze Stachem
Daj mu tłustego kaczora;
Niech weźmie w kobielę — będzie na niedzielę.
Teraz że idźmy wraz wszyscy,
Już tam są Anieli, beśmy ich widzieli,
Są blizcy.
Ty Tomku brachu — bądźże bez strachu
Chociaż tam Józef jest stary,
Za wszystkich gadaj, ofiary składaj,
Boś ty był w szkołach u fary
A my naokoło — zagramy wesoło" i t. d.

Mała gęsiareczka postanawia sobie:

„Pójdę ja służyć do Pana
Będę bydłu nosić siana,

Będę mleczko z cukrem warzyć
Będę jajecznicę smarzyć".

Stare kobiety wiejskie zbierają się, radząc:

„Masła garnuszek — przyjmie to staruszek
Pannie lnu wiązankę zaniesiemy,
Na pieluszki — tego duszki
Same uprzędziemy".

A najbiedniejsi, bezrolni parobcy, co nic, prócz duszy, swojego nie mają, biegną ochotnie:

„Witaj Paniczu, Narodzony Boże,
Pójdziemy koleją, dzień i noc na stróże,
Szczypek narąbiemy, wody przyniesiemy,
Ej kolenda!"

Dzień Bożego Narodzenia, widziany przez pryzmat kolend, jest dniem ogólnej i szczerej radości, miłosiernej sprawiedliwości i braterskiego zrównania. Znikły różnice pomiędzy stanami. Królowie, gospodarze i wyrobnicy, równi są wobec Dzieciny, a gdy cichy, pracowity pańszczyźniany chłopak zapytuje pastuszków z pewnym niepokojem:

„Czy wolny i wspólny mieli przystęp w szopie?
Czy z fukiem i z pukiem nie mówiono: chłopie?"

odpowiadają mu:

„Nietylko nic nie mówiono,
Ale zaraz przypuszczono
Choć byli Anieli — stojący tam w bieli
I Trzej Królowie".

Dziecinna i niefrasobliwa, choć gorąca radość schodzi wraz ze śpiewem Aniołów na całą przyrodę i ludzi. Drzewa, ptaki, zwierzęta i ryby, gromadzą się przed stajenką, bez lęku jedno przed drugiem. Niestrudzony i pokorny wół, wierny opiekun, co radośnie ofiarował Bogu swój ciepły oddech i siano, otwiera pochód i tak mówi, podnosząc łzawe zamyślone oczy:

„Panie Boże mój — jam jest wołek twój,
Nie umiem nic tylko orać
I to trzeba na mnie wołać:
Nu wołku! Nu!"

Następnie zgodnym szeregiem zbliża się wszelkie stworzenie. Mniejsza o logikę, możliwości ziemskie, gdy świat cały musi paść do stóp Dziecinie. Rodzime drzewa kłonią szumne głowy, żywicę składając w darze, lecz wnet odsuwają je na bok zamorskie — (pomiędzy któremi: „oliwne drzewa od wielkiej radości, rozpływały się z wrodzonej tłustości") — aby z kolei ustąpić zwartym tłumom zwierząt.

„Wszystko się zmieniło — jak nigdy nie było" — zaręczają przed wiekami zmarli rymotwórcy, nieznani światu, lecz z pewnością znani Bogu —

„Zając z chartem siedzą, z jednej misy jedzą,
Liszka pasie kury, kot, myszy i szczury,
Wilk owcom nie szkodzi, wespół z niemi chodzi".

nawet:

„Śnieg i lód grudniowy — słodki jak cukrowy"

w ten radosny, jedyny w całym świecie dzień. Dowiedziawszy się o tem co zaszło, milczące, lecz dlatego nie pozbawione słuchu, ryby płyną gromadnie strugą pod stajenkę i przez przerębel oglądają Pana:

„A kiedy większe na wierzch wypływały,
Jezusowi się na obiad dawały
Nie wytrwał ślizyk — skoczył do kieszenie,
Ofiarując się sam na pożywienie
Z radości".

Lecz oto słychać szum skrzydeł wielki i gwar ptasi. Milczące ryby usuwają się z widowni, na którą:

„Król orzeł sam wpierw przyleciał"

a za nim, hufcem skrzydlatym i głośnym:

„Ptactwo co się dowiedziało
Za królem swoim leciało".

I pokrywszy gęstą chmurą dach stajenki, śnieg i krzaki, jęła wdzięczna gromada śpiewać chwałę Pana, który z Nieba na świat zeszedł:

„Puchacz swoim głosem puchał,
A gołąb Dzieciątku gruchał,
Wrona krak, krakała Boga wyznawała
Na szopie".

Szczupłe ramy niniejszej pracy, nie pozwalają mi przytoczyć w całości kolendy opisującej ten zlot uskrzydlonej rzeszy i ucztę, na którą Dziecina zaprasza swoich śpiewaków. Popularna, pełna wdzięku i humoru kolenda:

„W dzień Bożego Narodzenia".

jest przeróbką powyższej, ogromnie skróconą, gdyż składa się zaledwie z 8-miu strofek, gdy pierwowzór liczy ich z górą czterdzieści, a szkoda! Trudno bowiem słowami oddać fantazję i świeżość, bijące z tych starych wierszy, także niefrasobliwość i swobodę, z jakiemi autorzy ich tworzą nowe rymy, lub nieoczekiwane przymiotniki w rodzaju: puchacz — puchał — kwiczoły kwiczały i t. p. Nie mogąc z żalem pomieścić jej w całości, przytaczam kilka urywków:

...„Słowik zaśpiewał dyszkantem, kanarek, skowronek, altem,
A kruk śpiewał basem, gawron był podczaszym
Ochotnym.
Papuga także gwarzyła — coś z cudzoziemska mówiła,
Żołna wraz z jędykiem, była tam syndykiem
Bażant był szafarzem.
Paw śliczny ogon roztoczył, lecz sprosnym wrzaskiem wykroczył,
Kwiczoły kwiczały, sikory śpiewały
A sęp siedział jako sęp.
...Gęsiom się wiedzieć dostało, że się tam ptactwo zleciało
Gąsior wiódł ich pasmo, bo nie było ciasno
W Betleem.
Sroka piwa nawarzyła, korzec weń chmielu włożyła,
Dobre było piwo, pito je co żywo
Na godach.
Sowa nieboga huczała, we dnie wina nie widziała
Hu, hu, hu, hu, hu, hu, — nie miała nic w brzuchu
Chudzina".

Część ptaków mniejszych między niemi:

„Trznadel z ziębą i szczygliczek z małą gębą"

nie zbliża się do uczty, sądząc, że je większe odsuną. Wdają się więc w tę sprawę poważniejsze ptaki:

„Jeszcze jarząbek z sokołem, radzą im z ciećwieżem społem
Obaw zaniechajcie, na gody bywajcie
Do wina.
Ptactwo się zaraz porwało, bo im się to spodobało
Lecąc z kuropatwą, przepiórka im da tę łatwą
Poradę:
A co nazbyt będziem miały, u bąka gardziel nie mały,
Więc go poprosimy, do domu weźmiemy
Ostatek.
A jeśli będzie we dzbanie, użyczysz nosa bocianie,
Żóraw długiej szyje — rad też dobrze pije
I nam da".

Milkną na koniec ptaki utrudzone. Cisza zalega stajenkę. Składa Najświętsza Panienka ręce w adoracji przed cudnem Dzieciątkiem swojem, które zasnęło znużone. — Wiatr mroźny wieje poprzez wątłe ściany. Drży z chłodu ciałko maleńkie na mrozie i bolesne łzy matczyne płyną po najsłodszej twarzy:

„Synu mój, Matka szepcze, serce w Niej truchleje,
Nie moja wszak, lecz Twoja wola się tu dzieje!"

Cichutko, żwawo, lekkiemi stopkami uwijają się wokoło maleńkie Aniołki.

„Jeden struga lipkę — Panu na kolibkę
Drugi kąpiel grzeje, a trzeci się śmieje,
Pieluszki jeden suszy — każdy rad służy z duszy".

Wtem, cóż to? Nowa wrzawa podobna zdala do ptasiej. Stary Józef umęczony, potrząsa głową z niezadowoleniem. Ciekawe Aniołki wyfruwają na dach szopy, a Dzieciątko roztwiera radośnie oczęta. Poznał Zbawiciel lud swój, ten co ukocha najmocniej. Nim weszli polscy pasterze wznosi dłoń błogosławiącą.

Oto i oni. Już dudnią po grudzie chybkie, bose nogi. Migają „cyfrowane portcyska" granatowe, bronzowe i białe sukmany, pasiaste wełny Łowickie. Niosą się przed niemi brzękotliwe raźne tony, bo gra każdy na czem umie, jako się zmówili:

„Weźmie Werdal swoje dudki, Franczyk weźmie lirę,
Becał basy, Curyk z rogiem a Kocura spyrę.(?)
Dryzden w bęben uderzywszy wnet obudzi Pana,
A my wnijdziem wszyscy razem, padniem na kolana".

A dary złożywszy, Zbawiciela uwielbiwszy, niezdolni pohamować bujnej, szerokiej radości, tańczą zapamiętale, aż drzazgi lecą z podłogi, aż wiruje cała szopa, aż Aniołki szeroko otwierają oczy. Autorzy kantyczek w niewinnej swojej prostocie uważają taniec za rzecz, która powadze boskiej nie może uwłaczać, owszem winna być przyjemną. Pasterze radują się z przyjścia Dzieciny, Dziecina raduje się z serca pasterzy, tańczą więc razem ochoczo:

„A na lirze czyście szczerze grali temu Panu
Pląsając, hulając, od nocy ku ranu?
I gra była, i śpiewanie, tak że aż niebieskie Panię
Rączkami klaskało, nóżkami tupało
Z radości".

Wesołość Dzieciątka dodaje animuszu pasterzom to też:

„Kiedy Wojtal zagrał z góry
To ledwo wszyscy ze skóry
Nie wyskoczyli.
Jedni Mu grali, drudzy śpiewali
Przy tej robocie,
Wach na oboi, — Grześ skrzypce stroi,
Stach na fagocie.
Panna woła: Dalej! dalej! Wszyscy się radowali
Takiej ochocie.
Wziął Sobek Staszka, — Walek Tomaszka
Widząc pańską łaskę
Na fantazyji, tej kompaniji — Józef dał wina flaszkę.
Dla jednego brakło pary, — tańcował sam Bartosz stary
Wziąwszy w rękę laskę".

Niewiadomo tylko czemu, pierwszy zazwyczaj do wszystkiego Jasiek, siedzi cicho w kącie, zapalczywie coś „ładnując":

„Graj, — mówi Jezus, — Maćku swoje,
Wnet Dziecię, tylko bas nastroję
I smyczek i smyczek...
Lecz się Maciek troska, bo nie ma i włoska
Na smyku, na smyku
Więc nie myśląc tyle, szast ogon kobyle
Do szyku, do szyku,
Jak ci urznie w szałamaje!
Jezus paluszkami łaje
Powoli! powoli!"

Czasem udaje się wesołej gromadce rozruszać nawet św. Józefa, dość rzadko wprawdzie, bo tylko w jednej kolendzie spotykamy o tem wzmiankę:

„Zagraliśmy skoczno, aż Józef stary
Nie mogąc się wstrzymać, skacze bez miary".

zazwyczaj zaś, św. Józef kładzie koniec przeciągającej się zabawie w sposób wcale kategoryczny:

„Nie każdy się Panu kłaniał,
Bo ich Józef powyganiał,
Spać, spać chłopy, nuże z szopy,
Dość już tego, wesołego..."

lub surowiej:

„Mówi Józef: dość już tego!
Idźcie pastuszkowie do bydła swojego,
Jużeście się naskakali,
Na nic głowę sturbowali
Mnie i Maryji.
Na dobranoc Panu wszyscy zagrajmy
Starego Józefa rady słuchajmy,
Bo laski pod żłobem maca
Kto wie czy nie na nas bracia,
W nogi zawczasu!!"

Armaty i moździerze (sic!) zaciągnięte przed stajenkę również nie zadawalniają świętego staruszka:

„Lepiej grajcie niż strzelajcie".

mówi kwaśno do Trzech Króli:

„Od tego hałasu ja umrę bez czasu
Tak się strasznie boję, ledwo stoję,
Zaczem Trzej Królowie po Józefa mowie
Strzelać zakazali, przepraszali".

Późny świt grudniowy już wybiela niebo gdy ztańczeni, ochrypli od śpiewu pasterze, żegnają Boską Dziecinę:

„Żegnaj Panie młody — trzeba iść do trzody
Ścieżeczką, ścieżeczką,
Jezus mruga brewką: daj im miód z konewką
I z beczką i z beczką.
Dziękują Panięciu pastuchy
Naleli po gardła swe brzuchy
Chwała Tobie Panie!
Potem gdy skończyli, do domu się spieszyli
Pana błagając:
Panie Jezu Chryste, uśmierz tego wilka,
Zjadł nam czworo jagniąt i owieczek kilka,
Potem daj być w niebie, niech chwalimy Ciebie
Wciąż nieustając".

Ta szczera i swobody pełna radość bijąca z każdej kolendy, rozciągała się nietylko na przyrodę i maluczkich. Skupione, ciche klasztory biorą również udział w ogólnej wesołości odrzucając precz powagę. Dobroduszni Bernardyni zbierali się w refektarzu i dziarsko wybijając rytm „ogórkami" o brzeg stołu, śpiewali wesołym natarczywym chórem:

„Daj nam, daj nam, daj, godna przyczyna:
Jezus się rodzi, daj nam węgrzyna,
Ojcze nasz Przeorze, — wszakże jest w klasztorze
Nagrodzi to Jezus Dziecina.
Bo gdy winka dobrze łykniemy
Prosić Maleńkiego będziemy
Aby Przeorowi, jak Namiestnikowi
Dał świętą Benedykcją".

Bogobojne Benedyktynki i skromne klarytki zostawiły pieśni z rozbrajającą naiwnością opisujące przysmaki, przez cały rok nieoglądane, wzbronione, w dzień Bożego Narodzenia zaś bez grzechu żadnego spożywane:

„Łamcie, krajcie, rozdawajcie pasztety,
Bo dziś u nas celebrują bankiety,
Ordynujcie ciast francuskich kolosy
Stołów pańskich specjały i sosy —
Znoście frukta tak wyborne jak w raju
Pijąc winko najprzedniejsze Tokaju
Dajcie na stół konfitury smażone
I syropy w alikantach spojone i t. d.".

Nawet surowi i twardzi Karmelitanie, zgoła wesołą dnia tego intonowali kolendę, a zawstydzeni własną płochością, kończyli ją następującem wezwaniem:

„Ty Zbawicielu
Naszych pociech autorze,
Twego karmelu
Pokryj winy o Boże,
Jeśli wykroczy, że dziś ochoczy
Bo Cię kocha jak może".

Czyż można czytać bez wzruszenia, obojętnie te cudowne w swojej prostocie gaworzenia naszych dziadów i pradziadów? Czyż można zaprzeczyć, że ci ludzie w swojej naiwności bliżsi byli Boga niż my, że lepiej i godniej kochali świętą Dziecinę niż pokolenia obecne, co starając się objąć nieobjętą wielkość Boga odmawiają Mu współudziału w naszych troskach, naszych łzach i znajomości naszych drobnych ludzkich spraw?

Zofja Kossak-Szczucka.

Z życia sławnych Polaków.

Hetman Stanisław Żółkiewski.

Na Rusi Czerwonej, wśród malowniczych a urodzajnych wzgórz, we wsi Turzynce pod Lwowem urodził się w 1547 r., jeden z naszych nietylko najdzielniejszych wodzów, ale i najprzenikliwszych polityków — Stanisław Żółkiewski. Ojciec jego Stanisław, pan wielkiej fortuny, zasłużony rycerz, był wojewodą bełskim, matką Zofja z Lipskich. Ziemia rodzinna poiła krasą rozumne oczy ładnego panięcia, kołysała dumami o tych nieustannych bojach, których była terenem, wrzała ciągłem pogotowiem wojennem, wobec niebezpieczeństwa grożącego ze wschodu od tatarów i turków, hartowała od wczesnego dzieciństwa przyszłego bohatera.

Po skończeniu szkół we Lwowie i odbyciu podróży zagranicę, młody Stanisław piękny, żywy, obdarzony niezwykłą pamięcią, głęboko i szczerze religijny, zaciąga się pod chorągiew hetmana i kanclerza Jana Zamoyskiego. Świetny wtedy okres przeżywała Polska, świetną też szkołę wojenną i obywatelską przeszedł Żółkiewski. Król Stefan Batory obcej krwi i mowy, a tak przejęty swymi obowiązkami,tak wielki w każdem poczynaniu i Jan Zamoyski wykształcony wszechstronnie, mądry wódz i polityk, prowadził Polskę ku potędze politycznej i kulturalnej. Żółkiewski odznacza się w czasie wojny z carem moskiewskim Iwanem Groźnym, staje się prawą ręką Jana Zamoyskiego i wspiera wszelkie jego zamierzenia.

Po przedwczesnej śmierci wielkiego króla Żółkiewski dopomaga wraz z Zamoyskim do obioru Zygmunta III i zostaje przezeń mianowany hetmanem polnym koronnym. Ciężką i krwawą, pełną trudu i poświęceń miała być ta buława dla Żółkiewskiego. Całe jego życie miało być nieustanną walką w obronie Rzeczypospolitej.

Gdy w 1589 r. hordy tatarskie wpadają na Ukrainę, Żółkiewski z garścią zebranego rycerstwa, silny wiarą w zasadę, że „nie trzeba, ani się godzi desperować o Rzplitej, ale czynić co mężom przystało", rzuca się w nierówny bój. Wnet potem tłumi bunt kozaków Łobody i Nalewajki, z całą jednak łagodnością obchodząc się ze zwyciężonymi, bo według niego „chore członki należy leczyć, nie odcinać". Gdy Polska, wplątana przez Zygmunta III, musi prowadzić wojnę ze szwedami, odniósł nad nimi niestrudzony hetman zwycięstwo w 1601 r. pod Rewlem.

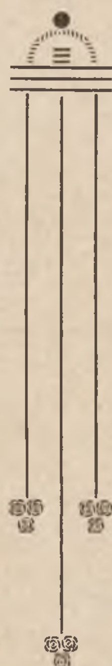
Choć widzi dobrze, że obrany i przez niego król Zygmunt III daleki jest od cnót i zalet bohaterskiego króla Stefana, nigdy nie stoi po stronie buntujących się przeciw jego rządom, będzie zawsze wnosił ton pojednania w stosunki polityczne, głosząc życiem całem zasadę, że podwaliną bytu państwa jest bezwzględne podporządkowanie się prawu przez jego obywateli.

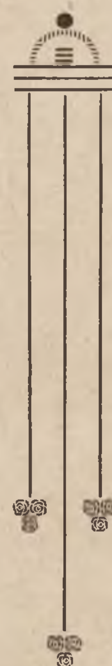
Największym zaś jego tryumfem, czynem, który mógłby zmienić nietylko losy Polski, ale całej wschodniej Europy, był jego udział w wojnie Moskiewskiej.

Kiedy w potężnem już wtedy państwie Moskiewskiem, po wygaśnięciu potomstwa cara Iwana Groźnego rozpoczęły się niepokoje, kiedy tymczasowi władcy zaczęli porozumiewać się z wrogami Polski, król Zygmunt III wypowiedział wojnę, właściwym zaś jej kierownikiem był hetman Żółkiewski.

Szybkim krokiem, łamiąc tak silne przeszkody jak upór samego króla, mając koło siebie zaledwie 10 tysięcy żołnierza, idzie wprost na stolicę, na Moskwę. Przed sobą ma 50 tysięczną armję nieprzjacielską, składającą się w znacznej części z najemnego, bitnego żołnierza rosyjskiego, niemieckiego, nawet francuskiego. Chcąc jaknajprędzej dopędzić wroga, zostawia piechotę i pędzi z samą jazdą. Wojsko moskiewskie pod dowództwem brata carskiego Dymitra oczekiwało na niego pod Kłuszynem, szczęśliwe, że jutro przyniesie mu pewne zwycięstwo, lękając się tylko, by Żółkiewski przerażony przewagą sił nie uciekł. 4 lipca 1610 r. ledwie o brzasku dnia uśpiony obóz Dymitra zatrząsł się od bojowych okrzyków, a jazda polska w huraganowym pędzie spadła na wroga. Po zaciętej walce, w której miało paść 12 tys. Moskali, wiekopomna sława zwycięzcy opromieniła czoło Żółkiewskiego.

Bojarzy moskiewscy błagają hetmana, aby syn Zygmunta III, królewicz Władysław, carem ich został. Gdyby Żółkiewski jeno wspomniał, niechybnie woleliby jego, wielkiego bohatera w sile wieku i męstwa widzieć na tronie, niż nieznane królewskie pacholę, ale dalekie od hetmana były samolubne plany. Żół-





Stanisław Żółkiewski.

kiewski w imieniu króla zawiera tymczasowy układ. Ludność Moskwy zaprzysięga wierność „carowi Władysławowi", biją monety z jego wizerunkiem, wychodzą prawa pod jego imieniem. Hetman rządzi Moskwą i wszyscy zdumiewają się, że wojsko polskie karne, poważne, nie rabuje, nie pali. Ale niestety cała wspaniałość tego wielkiego czynu oręża polskiego została zniważona przez upór Zygmunta III, który zapragnął korony carskiej dla siebie.

I nie pocieszył Żółkiewskiego tryumfalny jego wjazd na sejm do Warszawy 29, X. 1611 r., chociaż wieziono go w pojeździe ciągnionym przez 6 białych rumaków, chociaż wiózł za sobą nie bylejakich więźniów, bo cara Wasyla i jego brata — Dymitra. Bolał nie nad sobą, ale nad zniweczeniem wspaniałych widoków potęgi i mocy, jakie się przed Polską z chwilą objęcia tronu Moskiewskiego otwierały

Przez kilka lat względnego spokoju zamknął się w ukochanej Żółkwi, aby tam wespół z dzielną towarzyszką życia, zacną i mądrą Reginą Żółkiewską zająć się wychowaniem syne jedynaka Jana i zaprowadzeniem ulepszeń w swoich dobrach. A nietylko dbał o większe dochody, ale troszczył się o dobro poddanych. Buduje dla siebie piękny zamek, wspaniały kościół, zakłada szkoły, szpitale dla ludności polskiej i ruskiej. Wolne od zajęć chwile spędza na czytaniu cenionych przez siebie niezmiernie dzieł historycznych, a i sam pisze pamiętnik o wojnie moskiewskiej pod tytułem „Początek i progres wojny Moskiewskiej", w którym o swych czynach, albo przemilcza, albo mówi z wielką skromnością. Pisze wtedy swój testament, który był wyznaniem wiary tego niezłomnego, iście Chrystusowego rycerza, w którym wyraża swoje ostatnie najgorętsze pragnienie: zginąć z orężem w ręku. „Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary Świętej, dla Ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien".

To wszystko nie przeszkadzało hetmanowi, który teraz dopiero w 1618 r. otrzymał wakującą od lat 13 buławę wielką koronną, nadsłuchiwać czujnie, jak lew na Ojczyzny progu, czy nie grozi Jej nowe niebezpieczeństwo. I spostrzegł swoim bystrym umysłem pierwszy lekkie, dla innych niedostrzegalne, dla niego zwiastujące ciężką burzę chmurki. „Nawała turecka grozi Rzplitej" ostrzegał Żółkiewski na sejmie. Ale szlachta, pragnąca spokoju, nie wierzy w możliwość wojny, śmieje się ze starego hetmana, że ciągle z przyzwyczajenia wietrzy wroga, a nawet zarzuca mu niedołęstwo, że sam nie umie złu zaradzić. Żółkiewski napróżno przestrzega, błaga.

Aż sprawdziły się przewidywania mądrego polityka: we wrześniu 1620 stotysięczna armja turecka bitna, doskonale zbrojna, zaczęła posuwać się ku granicom Rzplitej. Żółkiewski postanowił spełnić do ostatka swój hetmański obowiązek. Z garstką wojska, licząca niespełna 9 tysięcy poszedł spotykać wroga. Wyszedł daleko za granicę kraju aż za Prut pod Cecorę, aby przez długi odwrót umożliwić krajowi przygotowanie się do ostatecznej rozprawy. Sformował ze swego wojska ruchomy czworobok, osłoniony działami i po stoczeniu 19 IX. ciężkiej z olbrzymią armją potyczki zaczął posuwać się wolno ku granicom Rzplitej.

Straszny, zdumiewający swym bohaterstwem był to odwrót. Bez chwili spoczynku, napastowani nieustannie, zasypywani tatarskiemi strzałami, wśród huku dział, w łunie palonych wiosek, po gorącej wskutek podpalenia stepów ziemi, posuwał się ten ruchomy obóz, walcząc zajadle, kierowany jedną niezłomną wolą i stanowczym rozkazem rycerskiego wodza.

I szedł tak tygodnie, zadając niejednokrotnie ciężkie straty turkom, wreszcie stanął nad Dniestrem. Ale Żółkiewski który tylu nieprzyjaciół widział i pokonal, który wedle jego własnych słów był w 44 starciach, nie znał siły piekielnej jednego wroga — który zjawił się w tej ruchomej fortecy, by spętać umysły anarchją, by zatruć ostatnie chwile wodza. Był nim strach. Ciągle wznawiane paniki osłabiły ducha, z czego natychmiast korzystali Turcy. Tylko świadomy swego posłannictwa, silniejszy nad poziome uczucia duch Żółkiewskiego nie uląkł się i trwał.

Dnia 6.X na rzucony okrzyk „hetmani uchodzą" oszalałe z trwogi wojsko rozerwało łańcuchy, rzuciło się w popłochu do ucieczki, tratując rannych, rzucając broń. Zwinni Tatarzy z tryumfem wdarli się do środka obozu. Żółkiewski, gdy się dowiedział, że hasłem do popłochu była wieść o ucieczce hetmanów, sam przebił szablą konia ze słowami „Gdzie owce giną tam powinien i pasterz, boby go spytano gdzie podział owce". I padł zarąbany przez pochańców, a szlachetna, dumna jego głowa zatknięta została na bramie pałacu sułtańskiego w Konstantynopolu.

Gdy zwłoki bohatera wykupione z niewoli spoczęły w Żółkwi, na grobowcu jego wyryto dwa napisy. Jeden „z moich kości powstanie mściciel" będzie pobudką bojową, dotąd grającą w duszy jego wielkiego wnuka Jana Sobieskiego, aż pomści pod Chocimem i Wiedniem bohaterską śmierć dziada. Drugi napis: „Jak słodko jest umrzeć za Ojczyznę" głosi nietylko wielkość duszy genjalnego męża, ale był jego testamentem, który wchłonęła w serca młodzież polska przez szeregi pokoleń. Słowa te stały się wyznaniem wiary, szcztem umiłowań rycerzy Polski niepodległej, żołnierzy Polski w niewoli, wreszcie tej młodzi ofiarnej, co za dni naszych sławę oręża naszego wznowiła.

Więc dziś w Polsce wyzwolonej niech rośnie cześć dla kryształowej postaci wielkiego męża, którego cnota jak stal była hartowna, męstwo bezprzykładne, a ukochanie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej silne i władne jako śmierć

Dr. Marja Śliwińska - Zarzecka.

ARTUR OPPMAN (Or - Ot).

Trzej królowie.

Jadą, jadą trzej królowie.
Jeden w drogiej szkatule
Ma złoto,
By je złożyć pod nogi
Tej Dziecinie ubogiej
Z ochotą.

Drugi w skrzyni zamczystej
Wiezie bisior srebrzysty,
Szkarłaty,
I korale na stroje
I kosztowne zawoje
Na szaty.

A król trzeci z oddali
Niema pereł, korali,
Ni złota;
Toć, gdy pojrzy na owych,
Łza mu z oczu surowych
Migota.

On z ziemicy swej starej
Miód przywozi na dary
Z pasieki,
Kołacz z mąki srebrzystej,
Król krainy śnieżystej,
Dalekiej.

Wchodzą władce do chaty,
Z nimi orszak bogaty —
Dworzany;
W proch głowami padają,
Pokłon Panu oddają
Nad pany.

Składa jeden bisiory,
Składa drugi amfory
Dukatów;
Zasie trzeci w pokorze —
Podebrany miód w borze,
Chleb... kwiaty...

ARTUR GROTTGER.

Pośród szeregu naszych wielkich ludzi, których wspominamy z czcią i dumą, którzy w wieku XIX na wszystkich polach — w nauce, piśmiennictwie i sztuce, wsławili imię Polski, tej Polski wówczas okutej kajdanami i z mapy świata skreślonej — a w sercach swych synów żyjącej — w dziedzinie malarstwa dwa szczególne nazwiska wybijają się na czoło: Matejko i Grottger. Obaj wielcy, obaj nawskroś Polscy, a tak bardzo odmienni! Pierwszy w obrazach swoich olbrzymich tryskających barwami, daje obraz świetnej kraju naszego przyszłości; szumią na nich sztandary i grzmią surmy i hymny tryumfu. Drugi, jak sam o sobie się wyraża „cichym głosem, jak gdyby na ucho" w niewielkich jednobarwnych rysunkach odtwarza nam sceny heroiczne i szczere, rozdzierające smutno, głęboko tragiczne; z tych najbardziej nam znane i bliskie osnute są na motywach martyrologji naszych ojców i dziadów. Dlatego też słusznie nazwano niejednokrotnie Grottgera „malarzem powstania".



Król Zygmunt i Barbara. mal. A. Grottger.

Odmienne też były koleje losu obu wielkich malarzy. Jasne i sielskie były lata dziecinne Grottgera. Urodził się w starym dworze na wsi w Ottynowicach we Wschodniej Małopolsce. Otoczony był miłością i tradycjami rodzinnemi, piękną przyrodą, przyjaźnią ludzką. Ojciec jego, mimo niepolskiego nazwiska, rodowitym był Polakiem, matka pochodziła z rodziny węgierskiej. Po węgierskich przodkach wziął smagłą cerę, bystre czarne oczy, cienkie rysy, wąskie nogi i ręce, zwinność ciała; niesłowiańską też była jego niespożyta pracowitość w połączeniu z niepohamowaną namiętnością do tańca i wszelkich uciech, a zalety te łączyły się z wielką wrażliwością i idealizmem już nie po węgierskich ale polskich przodkach odziedziczonych.

Od najwcześniejszych lat zaczyna rysować. Pierwszy znany nam jego rysunek pochodzi z roku 1847 r. więc gdy miał lat dziesięć. Pierwszym jego nauczycielem był jego ojciec Józef Grottger, sam niezły malarz i uczestnik powstania listopadowego, o którym synowi wiele opowiadał. Później będąc już w szkołach we Lwowie młody „Acio" rysuje pod kierownictwem Juljusza Kosaka i Maszsorskiego. Rysuje konie, wycieczki, polowania i obrazy bitew.

Szczęśliwe zrządzenie losu obdarzyło młodego artystę opiekunem i przyjacielem, który wiernie i poczciwie interesował się nim całe życie. Był to cudzoziemiec, Bawarczyk, hr. Aleksander Poppenheim, bawiący we Lwowie w armji Austryjackiej. Zauważył on był w oknie pewnego sklepu z dziełami sztuki obraz 14-letniego wówczas Grottgera. Zakupił go, z autorem i jego rodziną się zapoznał; przyjaźń ta mimo odmiennych narodowości i różnicy wieku trwała długie lata.

Ale właściwym punktem zwrotnym w życiu młodego malarza stał się jego wyjazd do Krakowa. Stało się to dzięki temu że zwrócił na niego uwagę sam Cesarz austrjacki Franciszek Józef. Tu znów odegrał rolę szczęśliwy przypadek. Oto gdy cesarz odbywał uroczysty wjazd do Lwowa, siedemnastoletni Grottger z okna zrobił pobieżny szkic tej chwili, ze szkicu zaś namalował duży akwarelowy obraz, który życzliwi chłopcu przyjaciele umieścili w zamku, gdzie Cesarz po wyjeździe ze Lwowa się zatrzymał. Nie zawiodły nadzieje. Cesarz zdumiał się na widok tak uderzającego talentu i przeznaczył młodemu artyście miesięczny zasiłek na kształcenie, polecił mu przytem udać się do Krakowa. Tak skończyło się jego dzieciństwo „sielskie, anielskie" a zaczęły się lata nauki, niedostatku, zmagania się z różnemi trudnościami, lata rozkwitu jego twórczości przecięte przez śmierć bezlitosną w 30 roku jego życia.

W Krakowie Grottger zapisał się do Szkoły Sztuk Pięknych, ale surowy, pedantyczny sposób uczenia Stattlera nie odpowiadał mu. Upajał się za to atmosferą Krakowa, Wawelem, Wisłą, hejnałem płynącym z wież Panny Marji, a także obcował z gronem wybitnych ludzi jak Wodzicki, Stanisław Tarnowski, Matejko. Na tej usilnej pracy minęły mu dwa lata. W międzyczasie stracił ojca, a rodzina jego przeniosła

się na stałe do Lwowa, on zaś stawa się jakby podporą i opiekunem osieroconych, sam też jeszcze młody i nie mogący na życie zapracować. Spędził parę miesięcy z rodziną we Lwowie, a czas ten uważa za najszczęśliwszy w swem życiu, potem na dalsze studja wyjechał do Wiednia.

Smutne i trudne tu było jego życie. Bardzo jeszcze młody, wątłego zdrowia, osamotniony w obcem

W tym samym roku odnosi Grottger tryumfy. Obraz jego „Spotkanie Jana Sobieskiego z Cesarzem Leopoldem" otrzymuje pierwszą nagrodę na konkursie uczniów Akademji.

Wybuch wojny między Francją a Austrją daje Grottgerowi pochop do całego mnóstwa obrazów i ilustracyj na tematy wojenne. To daje mu pracę zarobkową i względną niezależność. Zakłada więc dom



Z cyklu „Lituania". „Widzenie". mal. A. Grottger.

mieście, z tak małemi zasobami pieniężnemi, że głód i chłód cierpieć musi, — notuje to wszystko poprostu i szczerze w swoim nieodstępnym dzienniku, ale humoru nie traci, goryczy się nie poddaje, rodzinie się nie skarży. Pracuje i zwiedza. Wysyła parę obrazów na Wystawę w Krakowie, ale chłodnie są one przyjęte. Dopiero pierwszy jego „Cykl" czyli parę obrazów związanych treścią p. t. „Szkoła Szlachcica" zdobywa pewien rozgłos.

W r. 1858 pojechał Grottger do Monachjum. Tu dopiero zdał sobie sprawę z prawdziwej swojej drogi. Obrał sposób malowania jednobarwny, rysownik wziął górę nad malarzem.

w Wiedniu, sprowadza matkę i siostrę, staje się ich żywicielem. Sam pracuje wiele i bawi się całą duszą. Przez parę lat rysuje całe setki obrazów i ilustracyj do pism, do powieści, do historji Austrji. Praca ta dała mu ogromną wprawę i utrwaliła jego zamiłowanie do formy rysowniczej, w której nakoniec wyda swoje wielkie i tak drogie nam arcydzieła.

Są niemi cztery wielkie cykle: „Warszawa", „Lituania", „Polonia" i „Wojna", nie mówiąc już o całem mnóstwie innych, głęboko wzruszających obrazów jak „Pożegnanie" i „Powitanie", „Pochód na Sybir", „Rekreacja na Sybirze" (zesłańcy, którzy strugają krzyż), „Po powstaniu" (młody chłopiec bez nogi,

o rysach malarza, idzie o kuli z matką i siostrzyczką), „Pod murami więzienia", „W minach". Trudno wyliczyć istniejące prócz tego rozliczne portrety i portreciki, obrazy i obrazki olejne i akwarelowe.

Słynne Grottgera „Cykle" powstały w latach pomiędzy 1861 a 1867. Z serca Polski, z Warszawy, szły na świat cały poszumy i szmery zbliżającej się burzy. W czasie długich bezsennych nocy, Grottger przebywający na obczyźnie dosłuchał się głosu Polski, wzywającej go aby tylko jej w sztuce swej się poświęcał i oddał. W żałobnych wieściach z kraju usłyszał to wołanie i stworzył dzieła, z któremi pod względem głębokości i szczytności uczuć narodowych mało co równać się może.

Pierwszym z tych cyklów była „*Warszawa*", siedm kartonów złączonych w albumie, na którego okładce widniała cierniowa korona i napis: „Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci a ku wiecznej morderców hańbie". Obrazy te przedstawiają: 1. „Błogosławieństwo". Ksiądz błogosławi Hostją Przenajświętszą tłumom, błagającym o wolność. 2. „Lud w kościele", pamiątka owych sławnych „trzydziestogodzinnych nieszporów", gdy lud zamknięty w kościele nie chciał wyjść z niego, aż do wnętrza wtargnęło wojsko rosyjskie, bijąc i mordując lud. 3, 4. to obrazy z pogrzebu biskupa Fijałkowskiego, „Chłop polski i szlachta" oraz „Żydzi". 5. „Pierwsza Ofiara", młodzieniec padający od kuli. 6. „Wdowa" z dziećmi w kościele, wreszcie, 7. „Zamknienie kościołów" po świętokradztwie. Pojawienie się „Warszawy" zostało przyjęte w Wiedniu z podziwem i zachwytem. Obecnie znajduje się ona we Lwowie, w Zbiorach Dzieduszyckich. Grottger narysował jeszcze drugi cykl „Warszawa" ale ten został nabyty w Londynie i nawet reprodukcje jego się nie zachowały w kraju.

Drugi wielki swój cykl nazwał Grottger „Polonią". To już rok 1863-ci. Są to różne epizody z tych męczeńskich bojów. Więc najpierw „Branka" zaliczenie młodzieży polskiej do wojska rosyjskiego. „Kucie kos" aby je obrócić na wroga, potem różne obrazki ze zrabowanych dworów: „Bitwa" „Pobojowisko" i „Żałoba", gdy towarzysz broni zgromadzonym w domu kobietom przynosi wieść żałobną; ogromnie dużo wyrazu mają tu wszystkie postacie.

„Polonia" długo czekała nabywcy, aż wreszcie została nabyta przez Węgra hr. Palffy i dotychczas na Węgrzech się znajduje; dzięki nabywcy Polonii, miał Grottger parę jaśniejszych chwil, ponieważ hr. Palffy zabrał go ze sobą do Wenecji, gdzie artysta spędził parę tygodni.

W r. 1865 opuścił Grottger Wiedeń. Rodzina jego już pierwej była wyjechała: matka troskała się bowiem o los najmłodszego syna, uczestnika powstania. Znużony fizycznie i moralnie, ze zdrowiem nadszarpniętem, schronił się Grottger do wsi podkarpackiej Śniatynki. Miejscowość ta należała do Tarnowskich, przyjaciół jego rodziny. Tu na łonie natury wśród życzliwych osób znalazł artysta wypoczynek i ukojenie, a głowę miał pełną pomysłów. Pomysły te nabrały nowych barw i kształtów pod wpływem nowego szczęścia. A było nią poznanie przez Grottgera młodziutkiej i ślicznej p. Wandy Monne, która wkrótce została jego narzeczoną. Na ten właśnie okres przypada największy rozkwit twórczości Grottgera. Pod wpływem uczucia powstaje najbardziej nam znany cykl jego: p. t. „*Lituania*". Tu już pierwiastek epiczny zmienia się w czysty liryzm. Pod względem uczucia i wykonania ten cykl jest może najlepszym ze wszystkich, jakie artysta stworzył. Wzruszają nas szczególnie te momenty rodzinne, gdy w nocy na „Znak" dany przez okno powstaniec opuszcza żonę i dziecko i spieszy na „Bój", gdy po śmierci jego kobiecie we wnętrzu chaty jawi się jego „Duch". Gdy wreszcie ona sama, w obrazie końcowym, jako aresztant, w kopalni Sybiru przykuta do taczki, ma „Widzenie" i zdaje się jej, że widzi Matkę Boską Częstochowską.

W r. 1866 Grottger wybrał się do Paryża marząc, że w tym wielkim mieście, w tej stolicy świata znajdzie sławę i zdobędzie środki na założenie własnego gniazda. Ale tak być nie miało. Namalował jeszcze jeden wielki cykl „Wojnę", w którym przedstawia nam artystę ze swoją muzą w pochodzie po ziemi, dotkniętej klęską wojny. Okropne rzeczy przesuwają im się przed oczami: pożoga, głód, pobojowiska zasłane trupami, zniszczone kościoły, nędza rodzin, aż wreszcie w ostatnim obrazie widzimy tylko artystę przed sztalugą; pod spodem widnieje napis: „Ludzkości, ty plemię Kaina". — To była ostatnia wielka praca Grottgera.

Po namalowaniu Wojny organizm jego był ostatecznie strawiony chorobą piersiową. Wierny jego przyjaciel Marceli Krajewski wywiózł go do miejsca kuracyjnego we Francji Południowej i tu w Ammelie les Bains w grudniu 1867 r., zdala od kraju i od swoich cicho życie zakończył. I dopiero po śmierci doczekał się zasłużonej sławy, która opromieniła jego nazwisko .

J. M.

MARJA KONOPNICKA.

Ku chacie

Co mi nada, co pomoże,
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w nim tęsknię, gdy w nim nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze
Z tych dalekich dróg!

Obejdź lądy, opłyń wody,
Nie odtęsknisz swej zagrody.
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary pszczelny ul!

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól!...

W marmurowych chodzisz grodach
Utęskniony po tych wodach,
Het, przez łężny szlak...
Strugą mokrą i daleką
Po tych wodach, co tam cieką

Wskroś palm wzamian słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać na przemiany,
Co tam, gdzie i jak...



Z cyklu „Typy polskie". Ślązak. fot. H. Poddębski.



Z cyklu „Zabytki polskie" Zamek orawski. fot. Olszewicz.







ZIMA W

Czyż nie wspaniałe

ZAKOPANEM

są nasze góry?



Kozice.



Schronisko Polsk. Tow. Tatrzańskiego na hali Gąsienicowej w Tatrach.



Zakopane w śniegu. fot. Schmidt

Z DZIAŁALNOŚCI ORGANIZACJI SPOŁECZNYCH.

Szkoła Gospodarcza Żeńska w Chyliczkach pod Warszawą.

Szkoła Gospodarcza w Chyliczkach jest dobrze znaną w kraju, gdyż pracuje przeszło 30 lat na niwie społecznej. Przygotowuje ona wszechstronnie do gospodarstwa domowego i wiejskiego.

Nauka jest podzielona na poszczególne gałęzie gospodarstwa; każdy dział prowadzi wyspecjalizowana nauczycielka, która obok pracy pedagogicznej sama ma



Główny pawilon szkoły.

obowiązek stale kształcić się dalej i trzymać rękę na pulsie życia gospodarczego, aby niezwłocznie zaprowadzać w szkole wszelkie najnowsze ulepszenia.

Czas trwania każdego działu jest ściśle określony. Uczenicom, wstępującym do szkoły, wolno wybierać działy; świadectwo otrzymują jednakże tylko te, które przejdą całkowity kurs, obejmujący wszystkie działy, a więc: kuchnię, spiżarnię — szafarstwo, piekarstwo — cukiernictwo, przetwory owocowe, jarzynowe i mięsne, pszczelnictwo, mleczarnię, hodowlę bydła, trzody i drobiu.

Zajęcia praktyczne są połączone z naukowem uzasadnieniem, podawanem bądź przez kierowniczki działów, bądź przez przyjezdnych fachowców z Warszawy. Cały kurs wraz z praktyką specjalizacyjną trwa 3 lata. Absolwentki całego kursu otrzymują posady jako nauczycielki i kierowniczki szkół gospodarczych, a w przeciwieństwie do ogólnie panujących warunków, brak Chyliczankom rok rocznie nie posad, lecz kandydatek na ich objęcie.

W dziale kuchni uczą się panienki nie tylko gotować same, przyczem obliczają skład chemiczny potraw oraz ich wartość kaloryczną, lecz praktykują także w dużej kuchni zakładowej, gdzie się gotuje na 60—70 osób, oraz w kuchni czeladnej. Rozszerza to ich wiedzę kulinarną i ułatwia orjentowanie się w proporcjach na przyszłość. Pozatem uczenice przez czas

jakiś zastępują nauczycielkę, prowadząc samodzielnie kuchenkę eksperymentalną; — ma to duże znaczenie metodyczne — uczą się przytem organizacji oraz sposobów podawania swych wiadomości drugim.

Ogród 30-to morgowy postawiony jest handlowo; obejmuje kwiaty, warzywo i owoc, dając możność wszechstronnego zapoznania się zarówno z robotami ogrodniczemi, jak i z organizacją.

Założycielką szkoły była hr. Cecylja Plater Zyberkówna, kobieta epokowa, wyposażona niezwykłemi skarbami rozumu i serca.

Gorąca patryotka wyczuła potrzeby kraju i mimo ówczesnych bardzo trudnych warunków potrafiła pracować wydatnie dla Ojczyzny. Do założenia szkoły gospodarczej przygotowała się starannie: zjeździła niemal całą Europę w poszukiwaniu wzorów, nigdzie



Chyliczanki przy pracy.

Obora należy do Związku Hodowców bydła polskiego; — bydło rasy Czerwonej Polskiej odznacza się dużą mlecznością przy wysokim procencie tłuszczu.

Drób Chyliczkowski jest ogólnie znany; na ostatniej Wszechpolskiej Wystawie drobiu w Warszawie otrzymała szkoła dwa złote medale: za kury oraz za pracę naukową nad podniesieniem hodowli, zwłaszcza Zielononóżek Polskich, której wyrazem były ciekawe wykresy.

Oprócz nauk gospodarczych słuchają uczenice wykładów ogólnokształcących, mianowicie: pedagogiki, etyki, prawa, ekonomji, buchalterji, higjeny, djetetyki i chemji. Po ukończeniu szkoły większość uczenic wraca do własnego gospodarstwa, by pracować w rodzinie dla dobra kraju.

Szkoła Gospodarcza w Chyliczkach powstała w 1891 roku i do dziś dała społeczeństwu niemały zastęp kobiet (około 1500), które, czy to na stanowisku żon i matek, czy nauczycielek i pracownic społecznych, dobrze, sumiennie i umiejętnie służą Bogu i Ojczyźnie.

jednak nie znalazła takiej instytucji, któraby odpowiadała jej ideałowi. Pragnęła stworzyć szkołę, któraby przygotowywała kobietę wszechstronnie do gospodarstwa, a równocześnie dopełniała jej wychowanie, kształciła charakter, wpajała zamiłowanie pracy, słowem wychowywała dzielne i zacne obywatelki. Ideę szkoły



Jak Zosia z „Pana Tadeusza".

Chyliczkowskiej wytworzyła założycielka jej sama i przez lat 29 realizowała ją, kierując szkołą osobiście.

Z biegiem czasu skupiały się dookoła hr. Cecylji Plater - Zyberkówny inne osoby o podobnych dążnościach i tak powstało Towarzystwo Oświatowe — związek kobiet Polek - katoliczek, który prowadzi w dalszym ciągu instytucje przez nią zainicjowane, między innemi Szkołę Gospodarczą w Chyliczkach.

Obecny zarząd z dyrektorką p. Wyczółkowską na czele, przy intensywnej pracy naukowej, przechowuje wiernie narodowe i religijne ideały fundatorki, a uczenice, zwłaszcza te, które kończą kurs 3-letni, pracą swoją i całem postępowaniem dają dowód, że szkoła przygotowuje dobrze do życia. Sama wiadomość, że dana osoba jest dawną Chyliczanką, wyrabia jej w społeczeństwie opinję dzielnej gospodyni i zacnej obywatelki.

JERZY ŻUŁAWSKI.

Za chlebem

Droga ziemio ojczysta! ukochany kraju!
Góry moje rodzinne! — ja wśród was zrodzony
Czemuż muszę porzucać złotych marzeń strony,
Czemuż ptakiem przelotnym ciągnąć do wyraju?
W cudze kraje mi lecieć między obce ludy,
Drogich sercu opuścić na długo, na długo,
Płynąć trzeba pod wodę bystrych losów strugą,
Walczyć z życiem i gonić marne szczęścia złudy!
Serce pragnie tu zostać pośród własnej braci, —
Gnane w świat przemocą oprzeć się nie zdoła,
Rozłączenie jednakże krwawa łza opłaci...
Ty się pytasz, dlaczego w świat mi lecieć trzeba,
Rzucać ojców cmentarze, góry, lasy, sioła?
Krótko powiem: dla chleba, bracie mój, dla chleba!



Warszawa, Rynek Starego Miasta w nowej szacie. (Polichromja).

WIADOMOŚCI Z KRAJU

Dziesięciolecie powstania wielkopolskiego.

Dwudziestego siódmego grudnia ubiegłego roku obchodziła Polska dziesięciolecie faktycznego przyłączenia dzielnicy poznańskiej do Macierzy. Z dniem 11-go listopada 1918 roku uzbrojone wojska niemieckie opuściły tereny, okupowane w byłym zaborze rosyjskim, jednak Wielkopolska, Pomorze i Śląsk pozostały nadal we władaniu Prusaków. Sejm dzielnicowy, obradujący w Poznaniu od 3 do 5 grudnia 1918 roku jednomyślnie zamanifestował uchwałami niezłomną wolę Wielkopolski wyzwolenia się z pod jarzma zaborcy i zjednoczenia z pozostałemi dzielnicami w niepodległe państwo polskie.

W odpowiedzi na to, Niemcy poczęli organizować zbrojne bojówki, t. zw. „Grenzschutz" i „Heimatsschutz". Organizacją sił polskich zajął się Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej w Poznaniu. 26-go grudnia 1918 roku przyjechał do Poznania Ignacy Paderewski, witany z niesłychanym entuzjazmem przez ludność Wielkopolski. A następnego dnia wybuchło powstanie. Walka doprowadziła do szybkiego wyparcia wroga z kraju. Dokonało się wskrzeszenie niepodległości na prastarej ziemnicy piastowskiej, kolebce państwa polskiego. Traktat pokoju, podpisany w Wersalu również przez przedstawicieli Polski, Romana Dmowskiego i Ignaczego Padarewskiego, potwierdził polskość dzielnicy poznańskiej i pomorskiej.

Majątek i długi m. st. Warszawy.

Według zestawienia, sporządzonego ostatnio, *majątek miejski Warszawy wynosi 550.607.284 zł.*, w tem 504 miljonów stanowi majątek nieruchomy, a 46 miljonów — ruchomy. Majątek przedsiębiorstw miejskich oszacowany jest na 231 milj., fundacji na 78 milj., wydziałów administracyjnych na 241 milj. złotych.

Największą wartość — 118 milj. — *reprezentują wodociągi i kanalizacje*, następnie z kolei — *tramwaje miejskie* — 62 milj., *teatry* — 16 milj., *miejskie zakłady zaopatrywania Warszawy* — 15 milj., *„Agrill"* — 6 milj., *rzeźnie i targowiska* — 7 milj., *zakład oczyszczenia miasta* — 3 milj. Bardzo poważny majątek gazowni miejskich nie jest włączony do tego wykazu, gdyż nie dokonano jeszcze oszacowania.

Same nieruchomości na terenie Warszawy, należące do fundacji (szpitale), reprezentują wartość 55 milj. zł. Nie ulega wątpliwości, że wartość faktyczna „handlowa" majątku miasta, za wyjątkiem wodociągów i kanalizacji, jest znacznie większa.

Długi Warszawy wynoszą ogółem złotych 181.515.783 i 65 gr., w czem największą pozycję reprezentuje *zeszłoroczna pożyczka amerykańska* — *88 milj. zł.*, następnie zobowiązania różne — pożyczki wewnętrzne i w Banku Gospodarstwa Krajowego — 24 milj., pożyczka konwersyjna 4 i pół proc. z 1926 roku — 20 milj. zł. i druga taka sama 6-procentowa — 13 milj. zł. *Oprocentowanie roczne tych długów wraz z amortyzacją wynosi około 12 milj. zł.*, w czem pożyczki amerykańskiej 7 milj. Jak widać z powyższych zestawień, hipoteka Warszawy przedstawia się solidnie.

Rozwój Warszawy.

Dyskusja nad budżetem stołecznego miasta Warszawy na przyszły okres gosp., przeprowadzona w Radzie miejskiej, dała możność zorjentowania się w rozwoju stolicy. Magistrat, który obecnie sprawuje władzę miejską w Warszawie, przeprowadził 90 nowych ulic (w tem 52 odremontował) o ogólnej długości 60 kilometrów. Założono 60 kilometrów nowej sieci wodociągowej i 7 km. kanałów. Zbudowano 1800 izb dla bezdomnych; powiększono szpitale św. Stanisława i św. Łazarza o dwa nowe pawilony; zbudowano sanatorjum dla chorych na płuca w Otwocku, 3 nowe ośrodki zdrowia, dwa domy dla straży pożarnych. Założono 11 kilometrów nowych linji tramwajowych, przeprowadzono oświetlenie elektryczne na 61 ulicach, a gazowe na 43 ulicach. Wystawiono piekarnię miejską etc. W nowym budżecie przeznaczono na nowe budowle i inwestycje 30 miljonów złotych. Szczególną opieką otacza Magistrat przedmieścia, które w liczbie czternastu przyłączono do Warszawy w 1916-ym. Przedmieścia te były zupełnie zaniedbane, gdyż nie leżały w obrębie miasta. Obecnie, jak na to wskazują przytoczone powyżej liczby, zamieniają się szybko w uporządkowane dzielnice wielkiego miasta.

Opieka nad dziećmi.

Wydział opieki społecznej magistratu opracowuje program akcji, mającej na celu znalezienie miejsca naclegu, wyżywienia i nauki dla opuszczonych dzieci ulicy. Dzieci takie będą zatrzymywane i odstawiane do zakładów wychowawczo - naukowych. Dzieci będą segregowane na takie, które zdążyły już się zatruć ulicą i nie będą chciały opuścić chodnika i udać się do zakładu i na spokojne, wdzięczne za okazanie im pomocy. Pierwsze dzieci będą kierowane do specjalnych zakładów.

Bezdomni.

W chwili podjęcia przez magistrat akcji w kierunku pomocy mieszkaniowej dla bezdomnyc,h t. j. w październiku 1924 r., istniało na Żoliborzu i Powązkach 18 budynków dla bezdomnych. W r. 1925 przybyło ich 16, w r. 1926 — 19, w r. 1927 — 19,

w r. 1928 — 40, razem budynków tych jest obecnie 112. Prócz tego wykonano w osiedlach dla bezdomnych inwestycje następujące. W r. 1925 przeprowadzono roboty wodociągowe na Żoliborzu, w r. 1926 urządzono na Żoliborzu doły zlewowe i śmietniki, częściowo uregulowano teren, w r. 1927 rozpoczęto na Żoliborzu budowę łaźni i pralni, ogrodzono teren, zasypano doły poglinianskowe, w r. 1928, t. j. od całkowitego przejęcia przez magistrat administracji osiedlami dla bezdomnych, urządzono tamże 13 zdrojów, przeprowadzono rynsztoki ściekowe, wybrukowano część terenu, wybudowano ulepszenia przeciwpożarowe, otwarto przychodnię przeciwgruźliczą i czytelnię, zorganizowano klub sportowy, dożywiano dzieci i prowadzono w ciągu 3 miesięcy półkolonje letnie dla 800 dzieci.

Z ruchu budowlanego stolicy.

Na posiedzeniach komitetu rozbudowy m. stoł. Warszawy rozważany jest program rozbudowy stolicy na najbliższe 10-lecie ze szczególnem uwzględnieniem nadchodzącego 3-lecia, poczynając od 1-go stycznia 1929 r.

Program ten, uzgodniony z regulacją miasta, przewiduje zabudowę dzielnic mieszkalnych, urządzenie parków, ogrodów i zieleńców, podział miasta na strefy, z których każda będzie miała specjalne przeznaczenie, z zastrzeżeniem wysokości domów i gęstości zaludnienia.

Jednem z zadań planu będzie utrzymanie dostępu powietrza do gęsto zaludnionego śródmieścia (którego zabudowy zmienić w naszych warunkach nie można), przez przedłużenie na peryferje istniejących już w śródmieściu ośrodków zieleni.

Plan ten uwzględni nietylko racjonalną zabudowę wielkiej Warszawy, ale obejmie miejscowości okoliczne, włącznie do letnisk podmiejskich, w celu ujednostajnienia ich charakteru. W tym celu, po zaaprobowaniu planu przez komitet, odbędą się posiedzenia z przedstawicielami gmin.

Szkoły, kąpiele, hale i spalanie śmieci.

W ostatnich czasach władze państwowe zainteresowały się bliżej rozwojem stolicy i jej gospodarki miejskiej, żądając od magistratu przedłożenia szczegółów, co do prac wykonanych i zamierzonych na najbliższe lata. Rząd pragnie uzgodnić te zamierzenia z planami swoimi w zakresie popierania rozbudowy miast.

Dla szkolnictwa magistrat stolicy zdziałał wiele. W ciągu ostatnich *3 lat zbudował 27 gmachów* dla szkół powszechnych, średnich i zawodowych, *kosztem 17 miljonów złotych.* Na lata następne projektuje się na ten cel po *19 milj. zł.*

Na budowę kąpieli wydatkowano w ostatnim roku *3 milj. złotych.* W latach następnych projektuje się wydatkowanie na ten cel *po 5 i pół milj. zł.*

Na budowę innych gmachów użyteczności publicznej, jak hale, targowiska, zakład spalania śmieci, garaż miejski wydał magistrat w ciągu ostatnich 3 lat *około 26 milj. zł.* W latach następnych projektuje przeznaczać na te cele *po 6 i pół milj. zł. rocznie.*

Budowa hal i chłodni.

Magistrat prowadzi układy z przedsiębiorstwem angielskiem, które zamierza na podstawie uzyskanej od miasta koncesji przystąpić do budowy w Warszawie wielkich hal hurtownych i chłodni. Koszt budowy wynieść ma 40 milj. złotych.

Mechanizacja uboju bydła w Warszawie.

Miejski zakład uboju bydła przystąpił do instalowania szeregu urządzeń mechanicznych w rzeźni. Wprowadzone będą nowe aparaty do ściągania skór przy pomocy zgęszczonego powietrza. Poza tem otrzyma rzeźnia kilkanaście aparatów do uboju bydła przy pomocy prądu elektrycznego. Dzięki mechanizacji ilość ubijanego bydła dziennie wynosić będzie 2.000 sztuk.

Stacje benzynowe.

Urządzanie na ulicach stacji sprzedaży benzyny, popierane jest przez władze. Na ulicach stolicy są 34 takie stacje, na podwórzach garaży 43. Stacje wytwarzają poważną konkurencję dla sklepików z benzyną.

Walka z alkoholizmem.

Komisarjat rządu zwrócił się do magistratu, aby przyspieszyć urządzenie w Warszawie ambulatorjum dla pijaków. Projekt takiego pogotowia istnieje oddawna, jednak otwarcie stacji idzie opieszale. A tymczasem komisarjaty policji, szczególnie w nocy, z soboty na niedzielę są przepełnione pijakami, których właściwe miejsce powinno być na takiej stacji ratunkowej.

Na stacji takiej ma stale urzędować lekarz, który po przywiezieniu pijanego zastosuje środki otrzeźwiające, następnie pijak znajdzie „locum" na przespanie się.

Zbiory Muzeum Narodowego.

Muzeum Narodowe w Warszawie posiada bogate zbiory. Aż dziwno jest, skąd młode muzeum warszawskie zdołało zgromadzić tyle pamiątek polskich, cennych zabytków i pięknych dzieł sztuki. Dokonała tego ofiarność społeczeństwa i pełna zapału i znajomości rzeczy praca kierownictwa Muzeum z płk. Gembarzewskim na czele. Zaczątek Muzeum Narodowego stanowiły zbiory miejskie, które za czasów panowania rosjan znajdowały się przy magistracie

warszawskim i szczęśliwie uniknęły ogarnięcia ich przez zaborców. Po odzyskaniu niepodległości, wiele ukrytych po domach prywatnych pięknych kolekcji ofiarowano Muzeum Narodowemu. Obok ofiarności prywatnej zbiory muzealne powiększone zostały przez zakup; obecnie nadal stale dopełniane są ofiarami, eksponatami oddanemi w depozyt i drogą zakupu ze skromnego jeszcze budżetu Dyrekcji Muzeum. W końcu ubiegłego roku zbiory wzbogaciły się szeregiem cennych darów. Wśród nich na pierwszem miejscu wymienić trzeba dar p. Dominika Witke-Jeżewskiego, wspaniałą kolekcję kilku tysięcy drzeworytów polskich, tak dawnych, jak i najnowszych, w czem kilkanaście wydawnictw z drzeworytami XVI i XVII wieku. Dr. Franciszek Goldberg - Górski ofiarował 18 obrazów i szkiców, w czem dzieła Bacciarelli'ego, Michałowskiego, Matejki, Gierymskiego, Chełmońskiego i t. d. Z pamiątkowych objektów złożyło w muzeum ministerstwo spraw zagranicznych tabliczkę mosiężną z trumny Juljusza Słowackiego. Na resztę darów złożyły się ryciny, monety, pierścień starożytny, broszury i inne przedmioty artystyczne lub zabytkowe.

Tow. Przyjaciół Przedmieść.

W ostatnich latach wzmogło się znacznie dążenie mieszkańców dzielnic, położonych na mniej lub więcej odległych krańcach stolicy, do zbiorowych wystąpień nazewnątrz zarówno w stosunku do władz miejskich w obronie podniesienia stanu swych dzielnic, jak również akcji kulturalno - społecznej. W tym celu powstały liczne Towarzystwa przyjaciół poszczególnych przedmieść.

Obecnie na prawym brzegu Wisły istnieje 6 takich towarzystw, a mianowicie: Tow. przyjaciół Grochowa, Kamionka, Saskiej Kępy i Gocławka, Pragi, Nowego Brudna, Pelcowizny i Targówka, na lewym 12: Mokotowa, Powiśla, Sielc, Czerniakowa i Siekierek, Ochoty - Czyste, Woli, Marymontu, Żoliborza, Młocin, Burakowa oraz dzielnic Muranowskiej, Powązkowskiej i Koło - Budy, razem 18.

Towarzystwa te należą przeważnie do Zjednoczenia stow. przyjaciół przedmieść.

Nowe linje lotnicze.

Z końcem ubiegłego roku upłynął termin trwania koncesji dla prywatnych przedsiębiorstw komunikacji lotniczej, to jest warszawskiego towarzystwa „Aerolot" mającego stałe linje Warszawa—Gdańsk, Warszawa—Kraków, Warszawa—Lwów, oraz poznańskiego „Aero" z linją Warszawa—Poznań. Towarzystwa te wraz z całym taborem zostały wykupione przez rząd. Eksploatacja komunikacji powietrznej została powierzona specjalnie utworzonemu przedsiębiorstwu państwowemu pod nazwą „Lot". Przedsiębiorstwo to przejęło dawniejsze linje oraz od 1 stycznia 1929 roku zaprowadziło komunikacje lotniczą Warszawa—Wiedeń przez Katowice, a oprócz tego utrzymana będzie linja pomocnicza na szlaku Kraków — Lwów.

Pozatem Kraków będzie posiadał komunikację z Warszawą przez Katowice. Od 1 kwietnia czynna będzie linja z Katowic do Gdańska przez Bydgoszcz—Poznań oraz z Katowic przez Łódź do Warszawy.

Komunikacja lotnicza rozwija się w Polsce coraz bardziej; z każdym miesiącem rośnie liczba przewożonych pasażerów, poczty i lżejszych przesyłek. Zaznaczyć trzeba, że polscy piloci pasażerscy należą do lepszych w Europie. W ciągu kilku lat istnienia komunikacji lotniczej, nie było jeszcze w Polsce wypadku śmiertelnego.

Za dwa lata stanie w Warszawie centralny dworzec kolejowy.

Ministerstwo komunikacji opracowało nowy program przyśpieszonej *przebudowy węzła kolejowego warszawskiego*, kosztem 49 milj. zł. Plan uzasadniony jest głównie tem, że zwiększający się szybko ruch komunikacyjny już w roku 1930 wytworzyłby w węźle warszawskim trudności niemożliwe do pokonania.

Nowy program przewiduje *wykończenie do końca roku 1931 wszystkich najważniejszych inwestycyj*, związanych z przebudową węzła warszawskiego oczywiście w pierwszym rzędzie *tunelu i wykopu* do końca obecnego dworca towarowego, z wykonaniem i oddaniem do użytku *dworca wejściowego* do Warszawy w Szczęśliwicach i stacji na Czystem z parowozownią i wiaduktem.

Wykończone zostaną również: *gmach nowego dworca centralnego* w Al. Jerozolimskich z 6 torami peronowemi, stacja Warszawa Wschodnia z urządzeniami, odpowiedniemi dla zelektryfikowania komunikacji od st. Szczęśliwice do dworca Wschodniego w komunikacji dalekobieżnej i do Grodziska, Otwocka i Mińska Mazowieckiego — dla komunikacji podmiejskiej.

Dworzec centralny stanie frontem do Al. Jerozolimskiej. Wejście główne dla odjeżdżających będzie od strony ul. Marszałkowskiej, dla przyjeżdżających — od strony ul. Żelaznej. Podróżni, wyjeżdżający bez bagażu, będą mogli wchodzić również od Al. Jerozolimskiej i od ul. Chmielnej. Koszt budowy dworca centralnego obliczany jest na około 8 milj. zł.

Mniej pomników więcej czystości.

Z różnych stron nadchodzą wiadomości, że zarządy wielu miast przeznaczają w budżetach poważniejsze sumy na wzniesienie pomników.

Pomimo, że pomniki w miastach posiadają znaczenie wychowawcze, jednak w chwili obecnej wydatki na ten cel nie mieszczą się w ramach budżetów.

Wychodząc z tego założenia, władze centralne roześlą do wojewodów okólnik, by przy zatwierdzaniu budżetów miast, zwracali uwagę, że sumy, przeznaczone na pomniki, mogą być użyte na podniesienie czystości w miastach.

Prohibicja w Pruszkowie.

Stosownie do uchwały rady miejskiej i plebiscytu ludności, z dniem 1-ym stycznia r. b. zakazano sprzedaży napojów alkoholowych na terenie m. Pruszkowa. Właściciele sklepów ze spirytualjami i restauratorzy nie otrzymali patentów na dalszą sprzedaż. Wobec tego sprzedaż wszystkich wyrobów wódczanych i win winogronowych jest wstrzymana i traktowana będzie, jako sprzedaż potajemna, za którą grożą wysokie kary. Pruszków jest pierwszem miastem w Polsce, wprowadzającem w życie prohibicję. Czy, ze względu na rozpanoszenie się pijaństwa i łatwość przemycania wódki z Warszawy, miejscowy ten zakaz przyniesie w praktyce pożądane rezultaty — czas pokaże. W każdym razie usunięcie pokusy, wynikającej z łatwości nabycia, będzie miało niewątpliwie znaczenie. Zapasy posiadanych napojów alkoholowych kupcy zmuszeni będą sprzedać ryczałtem do innej miejscowości.

Zdrowotność w Polsce.

Wedle danych statystycznych departamentu służby zdrowia Ministerstwa spraw wewnętrznych, stan zdrowotności w Polsce poprawił się. Stwierdzono zmniejszenie chorób epidemicznych. W porównaniu z zimą 1927 roku spadek ilości wypadków chorób zakaźnych wykazuje 50%. Tak np. rok temu tygodniowo zapadało w kraju przeciętnie na tyfus brzuszny 480 osób, podczas gdy obecnie — 250 osób.

Jak zapowiada się urodzaj w Polsce.

Ciepła i słoneczna jesień sprawiła, że siew ozimny w kraju odbył się w warunkach nader pomyślnych. Zasiewy wzrosły i zakorzeniły się dobrze. Ilość opadów w prawie całym kraju była dostateczna. Wróży to dobry urodzaj w roku bieżącym, co potwierdzają dotychczas dane statystyczne co do stanu zbóż, nadsyłane ze wszystkich zakątków Polski.

RÓŻNE

(Kalendarzyk ważniejszych wydarzeń w Polsce)

SEJM RZECZYPOSPOLITEJ.

W drugiej połowie grudnia zeszłego roku Sejm Rzeczypospolitej obradował w dalszym ciągu nad budżetem państwowym na rok 1929—30-ty. Rozprawy budżetowe prowadzono w odpowiednich komisjach sejmowych i na posiedzeniach plenarnych. Badano budżety ministerstw: spraw zagranicznych, sprawiedliwości, wyznań religijnych i oświecenia publicznego, komunikacji, oraz przemysłu i handlu.

NOWY MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI.

W dniu 22-go grudnia ub. roku podał się do dymisji minister sprawiedliwości, p. Meysztowicz, przedstawicel konserwatystów w obecnym rządzie polskim. Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, dymisję tę przyjął i mianował ministrem sprawiedliwości dotychczasowego wiceministra, p. Stanisława Cara, który w swoim czasie pełnił funkcję szefa kancelarji cywilnej Naczelnika Państwa.

NOWY ROK NA ZAMKU KRÓLEWSKIM.

Wzorem lat ubiegłych, Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, przyjmował w swej rezydencji, na Zamku Królewskim w Warszawie, życzenia noworoczne. Dnia 1-go stycznia b. r. o godzinie 10-ej rano złożyli Panu Prezydentowi życzenia Członkowie Domu Cywilnego i Wojskowego, poczem Prezydent Mościcki udał się do kaplicy, by wysłuchać Mszy św., którą odprawił kapelan Prezydenta, ks. Bojanek. O godz. 11-ej rano pan Prezydent udał się do sali „marmurowej", gdzie oczekiwali nań z życzeniami J. Eminencja Kardynał Arcybiskup warszawski, ks. Aleksander Kakowski i Marszałek Sejmu, Ignacy Daszyński. Następnie pan Prezydent przeszedł do sali „rycerskiej". Tam zgromadzili się wszyscy przedstawiciele państw obcych w Polsce, a więc — przedstawiciel Papieża, J. E. Nuncjusz Marmaggi, ambasador Francji Laryoche, poseł włoski Maioni, poseł Czechosłowacji Girsa, poseł rumuński Davilla, poseł niemiecki Rauscher etc. W imieniu korpusu dyplomatycznego przemówił pierwszy Nuncjusz Marmaggi, składając Polsce i p. Prezydentowi życzenia noworoczne. Odpowiedział mu p. Prezydent, poczem po skończonym ceremonjale przeszedł do sali „Tronowej", gdzie przyjął życzenia od reprezentantów sądownictwa, wyższych uczelni i t. d., a także od osób prywatnych.

SEJMIK SPÓŁDZIELNI POLSKICH.

W dniu 19-go grudnia ub. r. obradował w Warszawie Sejmik Związku Spółdzielni Polskich. Stan spółdzielczości w kraju zobrazował ks. patron Adamski. Wedle jego słów, spółdzielczość rozwija się bardzo dobrze. Wkłady wzrastają z roku na rok o 100 procent. Centrala „Unji Związków Spółdzielczych" — Bank Związku Spółek Zarobkowych, rozporządza 250 miljonami złotych kapitału obrotowego. Taką samą sumą rozporządzają spółdzielnie. Wkłady banku dosięgły sumy 110 miljonów złotych, kapitały własne wynoszą 25 miljonów złotych. Liczby te stanowią najlepszy dowód szybkiego rozwoju idei spółdzielczości w życiu Polski.

ZJAZD HYDROTECHNICZNY.

W pierwszych dniach stycznia b. r. odbył się w Warszawie zjazd hydrotechniczny, na który przybyli licznie z całej Polski inżynierowie wodni, przedstawiciele samorządów,rolnictwa etc. W obradach zjazdu wzięli również udział ministrowie: robót publicznych J. Moraczewski, przemysłu i handlu E. Kwiatkowski, oraz rolnictwa Niezabytowski. Przedmiotem narod zjazdu była sprawa przeprowadzenia planu meljoracyj wodnych w Polsce. Kosztorys ogólny zamyka się liczbą 3 miljardów złotych, przyczem państwo poświęca na ten cel rocznie około 24 miljonów złotych. W planie przewidziano obwałowanie brzegów rzek o długości 1517 klometrów, regulację Wisły, kosztem pół miljarda zł., stworzenie 25 połączeń kanałowych, z których najważniejsze stanowią: połączenie systematu rzecznego Wisły i Warty, oraz Wisły i Dniestru; przeprowadzenie 5720 kilometrów dróg wodnych etc.

KU CZCI HOENE - WROŃSKIEGO.

Szesnastego grudnia ub. roku święcono w Warszawie uroczystym obchodem 150-lecie urodzin Józefa Marji Hoene - Wrońskiego, genjalnego filozofa polskiego (ur. w r. 1778, zm. w r. 1853). Po nabożeństwie w katedrze św. Jana, odprawionem przez J. E. Kardynała ks. Kakowskiego, odbyła się w sali Rady miejskiej akademja, w której uczestniczyli przedstawiciele nauki i władz polskich oraz liczna publiczność. Na akademji odczytano depesze od zagranicznych instytucji naukowych, łączących się z Polską w hołdzie dla wielkiego myśliciela.

PROCES POLITYCZNY.

W ostatnich dniach ubiegłego roku toczył się przed warszawskim Sądem okręgowym proces Jerzego Wojciechowskiego. Oskarżony, 23-letni emigrant rosyjski, dokonał przed kilku miesiącami zamachu rewolwerowego na handlowego radcę Soweckiego poselstwa w Warszawie, Lizarewa. Zamach nie udał się. Młody Rosjanin tłomaczył się na rozprawie sądowej, że pragnął zemścić się na przedstawicielu Sowietów za krzywdy, jakich doznał w Rosji od bolszewików. Sąd skazał Wojciechowskiego na 10 lat więzienia.

Obrazki z życia Polaków we Francji



Szopka Polska zorganizowana we Francji. Objeżdża ona większe skupienia polskie.



Choinka urządzona przez Tow. Robotników Polskich im. Józefa Piłsudskiego w Troyes, (Aube) Francja w 1298 r.

POLONIA ZAGRANICZNA

STANY ZJEDNOCZONE A. P.

PRASA POLSKO-AMERYKAŃSKA O MŁODZIEŻY POLSKIEJ W AMERYCE.

Wśród Polonji amerykańskiej przejawia się bardzo pocieszający objaw, coraz większe zainteresowanie młodzieżą polską, urodzoną i wychowaną w Ameryce. Troska o przyszłość polskości w krainie dolara zmusza wybitniejsze w społeczeństwie polsko-amerykańskim jednostki, organizacje polskie, wreszcie prasę polsko-amerykańską do zwrócenia baczniejszej uwagi na młodzież, bądź z powodu znanego powszechnie szybkiego wynaradawiania się młodzieży polskiej, urodzonej w U. S. A., bądź wskutek faktu narastania nowej inetligencji „polskiego pochodzenia", rekrutującej się z młodzieży urodzonej w Ameryce, wykształconej tam i wychowanej w atmosferze amerykańskiej. Od wartości i poziomu duchowego tej inteligencji zależy zarówno zachowanie polskości w masach wychodźtwa i podniesienie kulturalne tych mas, jakoteż godne reprezentowanie kultury rasy polskiej wśród społeczeństwa amerykańskiego i przychylne urabianie opinji „Yankesów" w stosunku do Polski. W prasie polskiej w Stanach Zjednoczonych, która jest bodaj największą ostoją polskości, wiele miejsca poświęca się młodzieży. Nie brak napomnień ostrych. Jeden z głosów krytycznych podajemy poniżej, mianowicie w „Dzienniku dla Wszystkich" czytamy:

...„Jeden z dziennikarzy stwierdza, że szkoły amerykańskie dają młodzieży pewien zasób wiadomości, ale nie wychowują ich. Jeżeli młodzieniec dany nie otrzyma w domu rodzicielskim ogłady towarzyskiej i jakiej takiej kultury duchowej, to wychodzi ze szkoły średniej i wyższej takim samym dzikusem i grubjaninem, jakim do niej wszedł. Często nawet gorszym, bo pewien zasób wiadomości czyni zeń zarozumiałego grubjanina, którego trudno czegokolwiek nauczyć.

Taki dyplomowany dzikus, roszczący sobe pretensje do znajomości zasad kultury amerykańskiej, największy wstyd przynosi naszemu wychodźtwu wobec obcych i przyczynia się do gwałtownego obniżenia kultury wśród mniej wykształconych własnych rodaków, którzy największe chamstwo i największe grubjaństwo zaczynają uważać za szczyt kultury amerykańskiej, a przez nią za najwyższy wykwit kultury światowej.

„Nie naśladownictwo ślepe tego wszystkiego co jest najgorsze i najbardziej przyziemne w Ameryce, ale rozbudowa charakterów na zasadzie prawdziwie polskiej kultury duchowej da naszemu wychodźtwu siłę i pożądane wpływy na społeczeństwo amerykańskie.

„Jeżeli chcemy naszemu wychodźtwu zapewnić lepszą przyszłość, to musimy zabrać się do wychowywania naszej młodzieży wszechstronnie, do budowania w niej szlachetnych i niezłomnych charakterów.

„Nie zrobi tego sama szkółka parafjalna, nie dokona tego sama parafja, ale dokonają wszyscy naprawdę wykształceni rodacy nasi wspólnemi siłami.

„Na wychowanie odpowiedniej młodzieży naszej i tworzenie odpowiedniej atmosfery, urabiającej charaktery, winni łożyć fundusze wszyscy naprawdę najchętniejsi nasi rodacy, a przedewszystkiem nasze organizacje polsko-amerykańskie".

Mocne to słowa, ale jakże przekonywujące. Nie jest jednak tak bardzo źle. Świadczy o tem organizowanie się młodzieży polskiej studjującej na uniwersytetach amerykańskich. Sam fakt skupiania się studentów na podstawie ich wspólnego polskiego pochodzenia jest już zjawiskiem dodatnim przejawiająca się zaś coraz żywsza działalność polsko-amerykańskich organizacji studenckich pozwala pokładać nadzieję na młodą polsko-amerykańską inteligencję.

AKADEMICY POLSCY W CHICAGO A ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI.

W „Wychodźcy" czytamy: Staraniem Polskiego Koła Akademickiego w Chicago odbył się w niedzielę dnia 18-go grudnia w Uniwersytecie Chicagowskim, uroczysty obchód 10-lecia Polski Niepodległej. Na uroczystość i wspólną kolację zaproszony został cały Klub Międzydzynarodowy Studencki, istniejący przy Uniwersytecie Chicagoskim (przeszło 400 studentów, reprezentujących 60 różnych narodowości), oraz szereg profesorów i wybitnych osobistości ze świata amerykańskiego. Komisję Oświaty Związku Narodowego Polskiego reprezentował prof. Szymczak i dr. Mioduszewski. Obchód wypadł naprawdę imponująco, zwłaszcza część programu muzykalno-wokalna, w której wzięły udział nasze najwybitniejsze siły artystyczne: p. Kośkiewicz — fortepian, p. Wiłkomirski — skrzypce, p. Głowacka i p. Janota — śpiew. To też niemilknące brawa towarzyszyły wszystkim występom naszych artystów, dając wymowne i chlubne świadectwo naszej kultury muzycznej. Adw. Goński z Milwaukee mówił o Polsce. — Trzeba zaznaczyć, że nasi artyści wzięli udział w obchodzie zupełnie bezinteresownie.

POLACY PROFESORAMI MUZYKI W CHICAGO.

„The Sherwood Music Schol" w Chicago, mająca około 5000 uczniów, zaangażowała na profesorów muzyki trzech naszych rodaków: Andrzeja Skalskiego, Jerzego Szpinalskiego i Michała Wiłkomirskiego, którzy objęli kierownictwo nad poszczególnemi działami szkoły.

KANADA.

OBCHÓD 10-LECIA POLSKI NIEPODLEGŁEJ W TORONTO.

„Związek Polaków w Kanadzie" —w Toronto obchodził uroczyście rocznicę niepodległości Polski w dniu 11 listopada. W obchodzie wziął udział konsul generalny w Montrealu, p. dr. Straszewski. Na uroczystości tłumnie przybyli tamtejsi baptyści polscy.

Kolekta na szkołę polską wyniosła 129 dolarów.

Zebrani wysłali telegramy do P. Prezydenta Rzeczypospolitej i Marszałka Piłsudskiego.

BRAZYLJA.

POLSKA KATOLICKA MŁODZIEŻ AKADEM. W BRAZYLJI.

Od kilku lat istnieje na uniwersytecie kurytybskim w Paranie organizacja katolickiej młodzieży polskiej, „Sarmacja", grupująca Polaków, synów kolonistów. Obecnie Stowarzyszenie to przystąpiło do budowy własnego gmachu, w którym mieścić się będzie lokal organizacji, bibljoteka i internat.

NOWY ZAKŁAD POLSKICH SIÓSTR MIŁOSIERDZIA W PARANIE.

W Arancarji, mieście stanu Parana, w Brazylji, odbyło się w zeszłym miesiącu poświęcenie nowego domu Sióstr Miłosierdzia. Podczas uroczystości miejscowy proboszcz wygłosił podniosłe kazanie po polsku i brazylijsku do licznie zebranych rzesz kolonistów polskich.

KATOLICY-POLACY W BRAZYLJI BUDUJĄ SZKOŁY.

Z inicjatywy ks. K. Zajkowskiego koloniści polscy z Correla Neto i Silvestre Correia wznieśli w kolonji Felicjanów, w stanie Rio Grande de Sul, piękny gmach szkoły katolickiej. W ostatnim tygodniu odbyła się uroczystość poświęcenia nowej szkoły, podczas której przemawiał ks. proboszcz Zajkowski i nauczycielka, p. A. Brzoskowska.

ODZNACZENIE POLSKIEGO RZEŹBIARZA.

Rodak nasz w Paranie p. Żak, zaszczytnie znany artysta rzeźbiarz, twórca pomnika „Siewcy" i niemniej uzdolniony artysta malarz, otrzymał nowy złoty medal Narodowego Salonu w Rio, za sześć artystycznie wykonanych prac rzeźbiarskich: „Dziewczę z maskami", „Syzyfy", „Macierzyństwo" i inne. Za wykonanie „Siewcy" tenże sam Narodowy Salon jeszcze w roku 1924 nagrodził p. Żaka wielkim srebrnym medalem.

OKRĘTY Z POLSKĄ OBSŁUGĄ.

W jedynem piśmie polskiem w Brazylji, wychodzącem dwa razy na tydzień pod nazwą „Lud" czytamy:

...„Nadzwyczajne wrażenie dodatnie robi na naszych emigrantach podróż morska na okrętach z polską obsługą z Polski do Ameryki Południowej. Rozmawialiśmy w Prudentopolis z dwoma emigrantami — rusinami, którzy przyjechali na „Krakusie" z Gdyni do Santos. Na okręcie nie czuli żadnej obczyzny, w jaką popadał zwykle każdy emigrant ze wstąpieniem na pokład; na „Krakusie" była wzorowa czystość, doskonała kuchnia polska, obsługa wyłącznie polska pełna uprzejmości. Wieczory przepędzali emigranci na pokładzie okrętu, gdzie im oficerowie-marynarze polscy urządzali różne pożyteczne pogadanki. Wogóle emigranci — w tym wypadku rusini z pod Tarnopola — Mikulmiec — uważali sobie podróż „Krakusem" z kompanji „Chargeurs Reuns" za prawdziwą przyjemność.

ARGENTYNA.

WYWŁASZCZANIE POLSKICH OSADNIKÓW W MISSIONES.

Wychodzący w Azara „Orędownik" zamieszcza następującą korespondencję:

Wojciechowo (O. V. Andrade), dnia 1 listopada 1928 r.

Sprawy kilku tutejszych naszych osadników, wywłaszczanych z ziemi zajętej, a gdy się opierali, bitych, nie załagodziły się, ale pogorszyły.

Poszkodowani — jak pisałem poprzednio — jeździli ze skargą do Posadas, ale ani gubernatora, ani „Juez Letrado" nie zastali w domu. Przesłuchał ich tylko zastępca, i telegrafował do komisarza w Cerro-Cora, by zrobił sprawę.

Pan komisarz sprawę zaczął, ale jak? Zjechał na posterunek policyjny Serro - Azul i zwoływał poszkodowanych, zmuszając ich do podpisu, że się zrzekają praw do ziemi zajmowanej; za opór groził aresztem.

MEKSYK.

KOLONJA POLSKA.

W „Kurjerze Warszawskim" czytamy:

Liczba Polaków chrześcijan, zamieszkałych w Meksyku — państwie, nie przewyższała 150 osób. W Meksyku — mieście istnieje Stowarzyszenie „Polonia", liczące 70 członków, a w tej liczbie są i żydzi. Rezultatów pracy nie było — ponieważ członkowie kłócili się z powodów osobistych. Kosulat R. P. zajął się sprawą „Polonji", przeprowadził wybory do zarządu, w skład którego wszedł urzędnik konsulatu a także 5-ciu Polaków wyznania mojżeszowego.

Owa niewielka liczba Polaków wiedzie bardzo marny żywot po miastach. Składa się z rzemieślników, robotników niewykwalifikowanych, kilku osób z półinteligencji i znikomej ilości osób zajmujących miejsca w wyższej hierarchji społecznej, lub uprawiających z powodzeniem handel.

Z powodu obecnego stanu politycznego w Meksyku wycofały się przedsiębiorstwa amerykańskie i europejskie, wskutek czego powstała stagnacja w przemyśle i handlu, dlatego znalezienie zajęcia dla rzemieślnika, półinteligenta, inteligenta jest prawieże niemożliwe. Z powyższych powodów emigracja do miast meksykańskich jest narażona na nędzę.

Nie lepiej przedstawia się sprawa i dla robotników rolnych, gdyż przymusowe rozdrobnienie wielkiej własności ziemskiej — zmniejszyło do minimum zapotrzebowanie rąk roboczych na roli z jednej strony, z drugiej zaś nie do wytrzymania jest konkurencja z robotnikiem indjaninem, który pracuje za wynagrodzeniem, nie mogącem zadowolić emigranta.

Kolonizacja rolna także jest bardzo utrudniona, z powodu walki, jaką prowadzą indjanie z kolonistami. Nie przeszkadzają uprawie i zasiewom zboża, lecz nie dopuszczają do zbiorów, zabierając je samowolnie, a gdy spotkają się z oporem, psują wszelkie urządzenia irygacyjne, bez których rolnictwo jest niemożliwe.

W ten sposób były zniszczone zawiązki kolonji francuskich, holenderskich i innych. Jednakże dla Meksyku kolonizacja jest niezbędną, bo miejscowa ludność niesklonna jest do pracy na roli, a zboże sprowadza się ze Stanów Zjednoczonych.

FRANCJA.

POMNIK ADAMA MICKIEWICZA W PARYŻU.

Pomnik Adama Mickiewicza dłuta znakomitego rzeźbarza francuskiego Bourdelle'a jest już prawie ukończony. Odsłonienie jego ma nastąpić, jak wiadomo, na placu Alma w Paryżu w dniu 3 maja 1929 r. Piękne to dzieło, któremu rzeźbiarz francuski poświęcił 20 lat pracy, zawiera 6 płaskorzeźb, które przedstawiają „trzy dzielnice Polski w niewoli" i „trzy dzielnice Polski wyzwolone". U szczytu pomnika stać będzie posąg wieszcza odzianego w płaszcz pielgrzyma i trzymającego w lewej ręce laskę pielgrzymią. Cały pomnik spoczywać będzie na granitowym cokole.

W wywiadzie, udzielonym współpracownikowi dziennika „Excelsior", mistrz Bourdelle nakreślił genezę zapoczątkowania przed 20 laty pomnika Adama Mickiewicza, z którym to pomnikiem, zawsze głęboko wierząc w odbudowanie państwa polskiego, połączył symboliczny obraz uwolnionych z jarzma trzech porozbiorowych części Polski. Gdy rzeźbiarz po raz pierwszy szkic pomnika pokazał synowi wieszcza Władysławowi Mickiewiczowi, ten zapłakał rzewnemi łzami. Podczas wielkiej wojny, gdy pociski „grubej Berty" waliły się na Paryż, artysta nie przerywał swej pracy nad pomnikiem Adama, wierząc gorąco, że z tego okrutnego przelewu krwi powstanie wolna i niepodległa Polska. Kończąc swój wywiad, Bourdelle zaznaczył, iż czuje się szczęśliwy, że zwycięstwo przyznało mu rację.

P. ambasador Chłapowski z małżonką przybyli w tych dniach do pracowni p. Radier, wykonywującego odlew pomnika Adama Mickiewicza, dłuta Bourdelle'a. Państwu Chłapowskim towarzyszyli b. minister Franciszek Pułaski oraz p. Manabrea, sekretarz komitetu „France Pologne". Wobec nieobecności mistrza Bourdelle'a, który jest niezdrów, p. ambasador złożył p. Radier gorące powinszowanie, z powodu wspaniałego wykonania dzieła. Na tej intymnej uroczystości obecni byli członkowie rodziny Adama Mickiewicza, m. in. syn jego Józef oraz wnuczki.

NIEDOLA POLSKICH ROBOTNIKÓW.

Pod powyższym tytułem pisze „Wychodźca", co następuje:

Górnicy polscy, pracujący w liczbie około 500 w kopalniach węgla Garmaux w południowej Francji znajdują się, jak wynika z doniesień prasy, w szczególnie trudnych warunkach. Zarówno traktowani są oni źle przy pracy w porównaniu ze swoimi francuskiemi kolegami — gdyż najcięższe i najbardziej niebezpieczne prace spadają na ich barki jak również nie spełniają ich podstawowych postulatów kulturalnych. W szczególności daremnemi pozostały dotychczas wysiłki mające na celu utworzenie szkółki polskiej w Garmaux.

Jedyną i usprawiedliwioną nadzieję pokładają Polacy z Garmux w konsulacie polskim w Marsylji, który stara się roztoczyć nad niemi swoją opiekę.

Dzięki wytrwałej akcji konsulatu jest nadzieja, że w krótkim czasie stosunki w kopalni ulegną sanacji dzięki usunięciu niepożądanych jednostek, źle traktujących polskich robotników. Narazie rekrutacja robotników polskich do powyższej kopalni została wstrzymana.

BELGJA.

Z ŻYCIA KOLONJI POLSKIEJ W BEERINGEN (LIMBOURG).

Wydawany przez p. Jana Brejskiego w Lille (Francja) dziennik „Wiarus Polski" zamieszcza następującą korespondencję:

Życie kolonji polskiej w Beeringen datuje się od maja 1926 r., kiedy to Polacy przybyli na kontrakt z Polski, a w trzy miesiące później sprowadzili swoje rodziny, a zarazem bezrobocie we Francji w roku 1927 przyczyniło się do powiększenia liczby Polaków w Beeringen. Co się tyczy życia ekonomicznego to wogóle, jak w całej Belgji, jest ono zadawalniające ,tylko pod względem opieki sanitarnej i braku kasy chorych jest bardzo marnie. Co do życia towarzyskiego, to z powodu braku sali na miejscu, istniejące towarzystwo teatralne ma bardzo małe powodzenie, bo chcąc odegrać jakąś sztukę, musi wynająć salę gminną, położoną o blisko dwa kilometry od naszej kolonji, a w której nie można nigdy urządzić zabawy tanecznej. Z powodu tego twoarzystwo przeważnie pracuje z deficytem, a co do opieki duchownej, to miejscowy ksiądz proboszcz, belgijczyk, bardzo się interesuje życiem naszem i już nauczył się trochę *po polsku* i dzięki jemu dzieci nasze będą miały możność na Boże Narodzenie przystąpić do pierwszej Komunji św., gdyż gdyby nie jego starania, dzieci tutejszej Polonji nie otrzymałyby żadnej nauki religji, ponieważ naszej kolonji nie odwiedził jeszcze żaden polski ksiądz. Dopiero z inicjatywy tutejszego towarzystwa zawitał do nas 2 grudnia ks. rektor Kudłasik, rektor Misji Polskiej w Brukseli i gościł u nas dwa dni, z czego dużo polaków skorzystało, przystępując do spowiedzi i Komunji św. Przeważnie dzieci skorzystały, przystępując do pierwszej spowiedzi; a w niedzielę, o godzinie 11 odbyło się polskie nabożeństwo, na którem ks. rektor w pięknych słowach przemówił do serc ludu pracującego, pozostawiając tak miłe wspomnienie po sobie, wspierając duże rodziny polskie, znajdujące się w opłakanem położeniu, małym datkiem pieniężnym.

DANJA.

DZIAŁALNOŚĆ ZWIĄZKU ROBOTNIKÓW POLSKICH.

Związek Robotników Polskich, założony w 1925 r. w Danji, z roku na rok rozwija skutecznie swoją działalność, grupując w swych lokalnych filjach związkowych coraz większą ilość członków z pośród wychodźtwa polskiego. Pierwszy związek powstał w Nakskov i mimo ogromnych trudności, które się wyłaniały w samem łonie wychodźtwa, potrafił się rozwinąć do tego stopnia, że już w r. 1926 zdobył się na wysłanie do Polski swoich harcerzy, celem nawiązania bliższych stosunków w kraju.

W miarę powstawania coraz liczniejszych filij Z. R. P., powstała Rada Naczelna, której członkami są prezesi lokalnych organizacyj, oraz wybitniejsze jednostki z tych skupień wychodźczych, gdzie jeszcze te lokalne organizacje nie powstały. Z chwilą skupienia pracy związkowej w rękach Rady Naczelnej, organizacja poczęła wkraczać na tory racjonalnej i systematycznej pracy.

W roku 1928 urządził Związek liczne obchody świąt narodowych przy bardzo licznym udziale Polaków, a także coraz życzliwiej usposobionych dla tamtejszej Polonji, Duńczyków. Również święto Dziesięciolecia Polski było obchodzone uroczyście w kilku miejscowościach.

Kwestja szkolnictwa polskiego w Danji posuwa się też, dzięki Z. P. R., stale naprzód. Istnieją już cztery szkoły w Kopenhadze. Nakskov, Nivaa i Nykobing. Wielką zasługę w tym wypadku mają nauczycielki, które nie ograniczają swej pracy do nauczania dzieci, rozwijają również pracę społeczną wśród starszych. Przy szkółkach powstają kółka samokształcenia młodzieży, kursy dla analfabetów i niedzielne pogadanki naukowe.

Prócz tych szkółek zorganizował Związek 5 bibljotek, których materjał książkowy w ilości 1.000 tomów jest co pewien czas odświeżany, dzięki „Opiece polskiej nad rodakami na obczyźnie" w Warszawie.

WĘGRY.

KU CZCI JENERAŁA BEMA.

Towarzystwo polsko - węgierskie w Budapeszcie urządziło uroczysty wieczór dla uczczenia pamięci jen. Bema, bohatera polskiego i węgierskiego.

Na uroczystości tej byli obecni: w zastępstwie posła Rzeczypospolitej radca legacyjny Łazarski, poseł finlandzki Setaelae, były węgierski prezydent ministrów p. Huszar oraz liczni członkowie kolonji polskiej. Podczas uroczystości i odsłonięcia portretu jen. Bema pendzla artysty malarza Takatsa, przemówienia okolicznościowe wygłosili prezes Towarzystwa, baron Anyari, któremu odpowiedział w języku francuskim radca legacyjny Łazarski, poseł finlandzki Setaelae oraz były premier węgierski, baron Huszar, który w swem przemówieniu podkreślił dziejową rolę przyjaźni polsko - węgierskiej. Tego samego dnia po południu odsłonięto na domu, w którym jen Bem mieszkał podczas swego pobytu w Budapeszcie, tablicę pamiątkową.

JUGOSŁAWJA.

OTWARCIE KLUBU POLSKO - JUGOSŁOWIAŃSKIEGO.

W Białogrodzie odbyło się uroczyste otwarcie nowej siedziby Klubu polsko - jugosłowiańskiego. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele jugosłowiańskiego ministerjum spraw zagranicznych, liczni członkowie korpusu dyplomatycznego, wybitni reprezentanci społeczeństwa serbskiego, przedstawiciele kolonji polskiej, prasy oraz członkowie Klubu. Gości podejmował kolacją zarząd klubu. Obecna na zebraniu śpiewaczka polska, p. Orci - Wasilewska, bawiąca w Białogrodzie z racji swego koncertu pieśni słowiańskich, odśpiewała na prośbę zarządu Klubu z wielkiem powodzeniem kilka ludowych piosenek polskich. Nowy lokal znajduje się w Białogrodzie przy ul. Porotisnoj 14.

PODRÓŻ SZEŚCIOLETNIEJ POLKI Z MOSKWY DO BELGRADU.

Niedawno przybyła do Belgradu 6-letnia dziewczynka z Rosji, nazwiskiem Zofja Grabowska. Dziecko odbyło długą podróż w celu odszukania swych rodziców.

Mała dziewczynka pochodzi z Krymu, gdzie pozostawili ją rodzice, jako dziecko dwumiesięczne, podczas gdy sami wywędrowali do Belgradu w poszukiwaniu za chlebem i uciekając przed terorem bolszewickim. Babka przesiedliła się następnie z dziewczynką do Moskwy.

Przed kilku tygodniami dowiedziała się mała Grabowska za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, że rodzice jej przebywają w Belgradzie. Dziecko nie uwiadomiło babki o swym zamiarze, lecz — powodowane tęsknotą za rodzicami — wybrało się w drogę do Belgradu, gdzie istotnie odnalazło swoich rodziców pod wskazanym adresem.

Jedynym pakunkiem małej było pudełko z żywnością i ukochane lalki.

TURCJA.

KOLONJA POLSKA W KONSTANTYNOPOLU.

W d. 14/XII. r. z. w Konstantynopolu, w salonach recepcyjnych poselstwa polskiego w Turcji, odbyło się popołudniowe przyjęcie, na którem zgromadziło się kilkadziesiąt osób członków miejscowej kolonji polskiej.

Nowomianowanego posła w Turcji p. ministra K. Olszowskiego, powitał w imieniu kolonji polskiej proboszcz parafji polskiej ks. Zaręba (salezjanin), poczem odśpiewano hymn narodowy.

Pp. Olszowscy podejmowali gości z prawdziwą staropolską gościnnością i uprzejmością, czem zjednali sobie wielką sympatję i uznanie.

CHINY.

JAK ŻYJĄ POLACY W MANDŻURJI?

W dzienniku „A. B. C." czytamy:

...„Jeszcze przed wojną światową w Charbinie skupiła się najliczniejsza kolonja polska na Dalekim Wschodzie. Wojna światowa, przewrót bolszewicki, a następnie długi szereg zaburzeń i walk domowych w Mandżurji i innych dzielnicach Chin zagnał do Charbinu sporą garść rodaków, którzy serdecznie przejęci przez tutejszą kolonję polską osiedli tu na stałe. Większość tutejszej kolonji tworzy inteligencja w przeważnej części pracującą przy kolei mandżurskiej, oraz w zarządach szeregu tutejszych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Stosunek ludności chińskiej do Polaków jest naogół bardzo życzliwy, co zawdzięczać należy tradycyjnej sympatji, jaką zdobyć sobie potrafili pierwsi tu, na Dalekim Wschodzie, na długo przed wojną światową osiedleni rodacy.

Przez cały czas pozostawania Mandżurji pod zarządem rosyjskim, od zapoczątkowania budowy wschodniego odcinka kolei transsyberyjskiej, kiedy to spora garść Polaków przy budowie tej kolei zatrudnionych osiadła z rodzinami w Charbinie aż do zawieruchy w czasie wojny światowej wszelka praca narodowa wśród tutejszej polonji była ze względu na zdecydowanie wrogi stosunek władz rosyjskich wręcz niemożliwa.

Pielęgnowano więc w rodzinach ducha narodowego i mowę ojczystą, a współżycie towarzyskie kolonji stawało się w tych warunkach coraz ściślejsze i serdeczniejsze. Dzieci uczono w domu czytać i pisać po polsku, posługując się elementarzami i książkami, sprowadzanemi z Warszawy, często rolę elementarza i jedynej książki polskiej odgrywała książka do nabożeństwa. Podrastającą dziatwę — jeśli stać na to było rodziców — wysyłano do szkół, synów do szkół w Królestwie, córki zaś do pensjonatów zakonnych w Tientsinie, Czifu lub Szanghaju, gdzie uczono je konwersacji francuskiej i angielskiej, umożliwiającej branie udziału w dość kosmopolitycznem życiu towarzyskiem kolonji europejskich w Chinach i Mandżurji.

Obecnie w Charbinie istnieje polska szkoła powszechna im. św. Wincentego a Paulo, oraz polskie gimnazjum 8-klasowe im. Sienkiewicza, posiadające uprawnienia gimnazjów państwowych w Polsce. Sporo jest jednak dziatwy rodziców tak biednych, że nie mogą płacić za naukę szkolną. W pierwszym rzędzie do tej grupy rodaków zaliczyć należy kilkadziesiąt rodzin, zamieszkałych na przedmieściu Samguryjskiem Charbinu. Są to przeważnie uchodźcy amurscy, potomkowie drobnej szlachty kresowej, którą rząd carski wysiedlił z kraju i osadził w prowincji amurskiej, a którzy uciekli od prześladowań bolszewickich i osiedli w Charbinie.

Kościoły katolickie, zbudowane z ofiarności Polaków, poza Charbinem istnieją w osadzie Mandżurja (około tysiąc kilometrów od Charbniu), oraz w mieście Hajlar. Ostatnio zaprojektowana została budowa kaplicy polskiej w Tsitsikar.



Teatr amatorski Stow. Kulturalno - Oświat., Robotników Polskich w Decazeville Aveyron (Francja).

DZIAŁ DZIECINNY



KAZIMIERZ KONARSKI.

Spuścizna.

Gdzieś het za górami, za lasami, w wysokiej sklepionej komnacie, w głębokim fotelu siedział starzec z długą siwą brodą, a u stóp jego młode pacholę z niebieskiemi oczyma i jasnemi jak len włosami Grudniowa noc zasypała już dawno gęstym szarym popiołem góry i lasy,sadyby ludzkie i ciche pola śniegiem głęboko pokryte. Godzina była późna, głęboka cisza wisiała w powietrzu.

Stary rękę na głowie pacholęcia położył.

Tak, tak, dziecko, mówił cichym, przyćmionym głosem. Za chwilę już mnie tu nie będzie. Odchodzę. Nie umieram zresztą, tylko idę do historji odpocząć po długiej całorocznej krzątaninie. Dłużej jak rok i ty także nie wytrzymasz. Zobaczysz. I tobie też przez ten czas włosy zbieleją. Przyjdziesz, to już się nie rozstaniemy. Starczy wtedy czasu na gawędę. Dziś już na mnie czas. Odchodzę. Ty po mnie rządy obejmujesz nad ludźmi i światem całym.

— Ho, ho, ja im pokażę!...

— Nic nie pokażesz. Wiedz kochanie, że choć się nic bez nas dziać nie może, to po prawdzie nikt nas nie pyta, o to co ma robić i jak ma robić. Robi swoje, a jak naplącze, nabroi krzywdy i głupstw natworzy, to potem dopiero do nas. „Czas wyleczy". Czas najlepsze na każdy ból lekarstwo" — powiadają. I to nam właśnie jedynie zostało do roboty. Koić ból i rany przez los i głupotę ludzką zadane. Serce miej cierpliwości pełne i ręce miękkie, żeby się za ich dotknięciem rany prędko goiły. Ot i wszystko. Ale prawda, byłbym zapomniał. Mam tu coś dla ciebie. Pomóż no mi wstać.

Z trudem dźwignął się z fotelu i przeszedł do sąsiedniej izby. Po chwili wrócił dźwigając na plecach wielki wór. Stęknąwszy głucho postawił wór na podłodze, poczem dwa razy jeszcze wracał do owej izby, wynosząc z niej dwa mniejsze woreczki.

Ustawił je koło siebie na podłodze rzędem i rzecze.

Ten największy to piasek — każde ziarnko, to godzina zmarnowanego czasu. Ludzie czasu szanować nie umieją ani swojego, ani cudzego. Leży taki w łóżku, wyleguje się, wstać mu się nie chce, godzina

jak z bicza trzaśnie. To znów wałęsa się po mieście sam nie wie poco, naco, już drugie ziarnko piasku do worka leci. Ileby dobrego można było zrobić przez ten czas, ile łez osuszyć.

Ten drugi to złoto, godziny przepracowane dla siebie. Mozoli się rolnik na swoim zagonie, czy rzemieślnik przy warsztacie, skrapia swym potem rolę i narzędzia, to mu się te godziny w złoto zamieniają.

— A ów trzeci, spytało pacholę.

— Ten trzeci najmniejszy to brylanty — praca dla drugich, z miłości dla ludzi płynąca. Nauczycielka co dzieci zbiera i uczy choć jej zato nikt nie płaci, siostra miłosierdzia co rannego opatruje, doktor co biedę darmo leczy.

— A co z tem zrobić dziadziu?

— Piasek wyrzuć w morze, albo na pustynię. Nic po nim nikomu. Złotem wyzłocić zboża w jesieni, żeby ludzie mieli się czem pożywić! A brylanty rozrzuć po niebie niech świecą, jak gwiazdy, bo ci ludzie, którzy je zarobili, niebo mają w duszy.

Stojący na kominku mały zegar wybił północ.

Nowy Rok obejrzał się po sali. Nie było w niej nikogo.

WESOŁY KĄCIK

NA POCZCIE.

— Ten list jest za ciężki, musisz pan nakleić jeszcze jedną markę.

— Wówczas będzie jeszcze cięższy.

NA WSZELKI WYPADEK.

Jakiś pan ogłosił w gazecie, co następuje:

,,Jestem poszkodowany. Wczoraj, kupując w pewnym sklepie kolonjalnym 3 kilo cukru, zostałem oszukany na wadze o 25 deka. Jeżeli nieuczciwy kupiec nie odeśle mi brakującej porcji do dziś wieczorem, to jutro ujawnię jego nazwisko w pismach". Tu następował adres poszkodowanego.

Podobno dowcipnemu panu nadesłano do wieczora 65 torebek cukru, po ćwierć kilo w każdej.

OSTROŻNY.

— Nigdy już nie wejdę do tej restauracji. Ktoś mi zabrał palto, a zostawił swoje.

— Nie obwiniajże z tego powodu gospodarza.

— Nie obwiniam wcale; boję się tylko, by ten drugi gość nie wrócił i nie upomniał się o zwrot.

ROZTARGNIENIE.

Żona uczonego wpada do pokoju męża:

— Na miłość boską, co czynić? Nasz mały wypił cały kałamarz atramentu!

— Pisz ołówkiem! — odpowiada roztargniony mąż.

MIĘDZY NARZECZONYMI.

— Wszystko stracone! Powiedziałem twemu ojcu, że żyć bez ciebie nie mogę...

— A cóż on na to?

— Przyrzekł pokryć koszta pogrzebu.

NIC ZA DARMO.

— Dziś uszczęśliwiłem siedem osób! — powiada pastor do przyjaciela.

— W jakiż sposób?

— Zaślubiłem trzy pary.

— To dopiero sześć, a gdzież siódma?

— Czy sądzisz, żem to uczynił za darmo?

MAŁE PLOTKARKI.

Klarcia:

— Kazia powiedziała mi, żeś jej zdradziła tajemnicę, którą ci powierzyłam pod warunkiem, że jej nie powiesz nic.

Zosia:

— Szkaradna ta Kazia! Prosiłam, by ci nie mówiła, żem jej to powiedziała.

Klarcia:

— To nic nie szkodzi! Powiedziałam, że ci nie zdradzę, że to wiem od niej, dlatego też nie mów, żem to uczyniła!

W SKLEPIKU.

Mały Józio: Proszę cukierków za 2 grosze, ale tylko mieszanych.

Kupiec: Masz tu 2 cukierki, wymieszaj je sobie sam.

„Zadaniem Stowarzyszenia jest udzielanie opieki wyjeżdżającym z kraju i przebywającym na obczyźnie rodakom oraz utrzymywanie z nimi łączności duchowej i kulturalnej, opartej na wspólnych tradycjach katolickich i narodowych".

(Art. 7. Statutu Opieki Polskiej nad Rodakami na Obczyźnie).

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju łącznie z przesyłką pocztową: Rocznie zł. 10, półrocznie zł. 6. Numer pojedynczy 1 złoty, Zagranicą rocznie: w Rumunji 200 lei, w Ameryce 2 dolary, we Francji 30 franków, w Niemczech 5 mk.
W innych krajach równowartość 2 dol. amerykańskich.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona za tekstem zł. 300, 1/2 strony zł. 150; 1/4 zł. 80; 1/8 — 40; 1/16 — 20; 1/32 — 10; ogłoszenia opisowe w tekście redakcyjnym o 50% drożej.

WYDAWCA: Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie. Redaktorowie: Jadwiga Morawska i Janusz Stryjewski
Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Krakowskie Przedmieście 6, 11 a. Tel. 90-54.

Salezjańska Szkoła Graficzna, Warszawa ul. Ks. Siemca 6. Tel. 337-72.



SALEZJAŃSKA SZKOŁA GRAFICZNA
WARSZAWA, UL. KS. SIEMCA Nr. 6.